201668 IV

Cena 1 zł

PAX

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI Warszawa 13 listopada 1955 r. Nr 45 (519)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

CZAS WYZNAWCÓW

Dewocja krzyczy: „Michelet wychodzi z kościoła!"
Prawda; dewocja tylko tego nie postrzegła,
Że za kościołem człowiek o ratunek woła,
Że kona — że, ażeby krew go nie ubiegła,
To ornat drze się w pasy i związuje rany...

*

A faryzeusz mimo idzie zadumany...

(Cyprian Kamil Norwid)

JEST w „Skąpcu" Moliera genialna scena, która aż się prosi, aby ją potraktować jako à propos naszej — katolików z ruchu społecznie postępowego — sytuacji. *) Maître Jacques spełnia w domu Harpagona podwójną funkcję: stangreta i kucharza. Widzi siebie w dwóch osobach. Stąd też w zależności od treści rozkazu swego pana — w toku jednej rozmowy — prezentuje się bądź w liberii stangreta, bądź w ubraniu kucharza. Otóż jeśli idzie o nas, to nie my samych siebie, jak maître Jacques — ale drudzy widzą nas bardzo często w podobny sposób, niejako podwójnie, jako dwie osoby w osobie jednej. Jako katolików i jako socjalistów. Dwie osoby, dwa stanowiska ideowe — powiązane wątłym: „i". Kucharz i stangret. Jesteśmy w oczach wielu niby maître Jacques, który w zależności od usłyszanego wezwania wkłada bądź czapkę stangreta, bądź mycką kucharza. Nie do każdego dotarło nasze zapewnienie, że przekonania katolickie i poglądy społeczne związane są w naszej postawie integralnie, że nie da się przedstawić stosunku naszego światopoglądu katolickiego do naszej świadomości społecznej matematycznym symbolem sumy: x — y. A jest faktem, że w wyniku mylnego ujęcia sprawy podstawowej zdarza się nieraz, iż skierowane ku nam wezwanie do współdziałania i do *confessio fidei* jest adresowane bądź to do naszej socjalistycznej świadomości, bądź do naszej świadomości katolickiej. Tak jakbyśmy byli w stanie oddzielić jedno od drugiego, zdjąć jedno ubranie, a włożyć drugie — dwa mając do dyspozycji. Oczywiście nie biorę w tej chwili pod uwagę ludzkiej złej woli, zakładającej, że mamy do dyspozycji dwie maski, i nakładamy na twarz bez wyrazu, nijaką w rysach, tę z nich, która w tej chwili jest nam wygodna. Idzie o rzetelne i na szacunku, lecz równocześnie na nieporozumieniu oparte spojrzenie na nas naszych braci — z jednej strony braci w wierze, z drugiej — braci w świadomości społecznej. Nieporozumienie to jest jakimś zasadniczym nieporozumieniem co do samej natury człowieka; bije ukrytym zaprzeczeniem w fakt jego duchowej jedności i integralności.

W praktyce społecznej wezwanie o takim założeniu brzmiałoby od jednej strony mniej więcej w ten sposób: w imię swojej postawy socjalistycznej działaj tak a tak, niezależnie od swojego katolicyzmu; od drugiej strony: w imię swojej postawy katolickiej nie dąż tam, dokąd dąży socjalizm, opowiadający się oficjalnie za światopoglądem materialistycznym.

Na oba te wezwania musimy odpowiedzieć jedno: nie jesteśmy w stanie rozdwoić się wewnętrznie. Jesteśmy katolikami z przekonania i — daj Boże — z życia, katolikami głęboko przeświadczonymi, że dobro świata leży w przebudowaniu go na podstawach socjalistycznych, że one to zapewnią człowiekowi sprawiedliwość społeczną, podniosą go w poczuciu człowieczej godności, przekreśliwszy — sprzeczną z katolicką nauką o człowieku — hierarchizację człowieka wedle koloru skóry, stanu posiadania, czy okoliczności urodzenia, wedle przynależności klasowej i narodowej, wedle jakiejś większej lub mniejszej ważności jego pracy zawodowej, że zapewnią z czasem każdemu człowiekowi najlepsze warunki dla jego pełnego rozwoju duchowego.

Przy najlepszej nawet woli nie jesteśmy zdolni rozpaść się na pierwiastki pierwsze: osobno na katolików, osobno na ludzi duszą, sercem, codziennym trudem oddanych budowie socjalizmu. To nie jest w ludzkiej mocy.

Ale wobec takiego stanu rzeczy powstaje dylemat, dylemat dla tych, którzy wzywają nas do wspólnoty postawy i wspólnoty działania: albo przyjąć nas integralnie, albo zrezygnować z naszej aktywności, z naszego współudziału, czyli pozostawić na boku jakiś materiał palny, jakiś dynamizm *in potentia*, jakąś żarliwość rwącą się do konkretnej roboty. Skazać nas na spętane ręce, usta zacięte w milczeniu. Trzecia ewentualność nie wchodzi w rachubę. Boć człowiek nie ma władzy nad przekonaniami drugiego człowieka.

Odrzucenie nas, bo byłoby to po prostu odrzuceniem — jest niewątpliwie decyzją o znaczeniu historycznym. Niewypał, siła zlekceważona — opóźnia krok rozwoju historii.

Z konieczności zatem odpowiedzieć sobie muszą ci, którzy kierują obozem socjalizmu, którzy mają poczucie odpowiedzialności wobec historii za swoją decyzję, brzemienną w konsekwencje, na pytanie, czy w budowie socjalizmu na świecie pożądany i potrzebny jest udział katolików, względnie znacznie szerzej: czy pożądany jest i potrzebny udział ludzi wierzących, boć idzie nie tylko o katolików, a nawet nie tylko o chrześcijan.

Z drugiej strony świat katolicki z konieczności odpowiedzieć sobie musi na pytanie, czy udział katolików w przebudowie społecznej świata jest zgodny z dobrem Kościoła?

Odpowiedź na te pytania jest dzisiaj kwestią podstawowej wagi. Nie jest ona może łatwa, ale jest konieczna wobec konkretnego faktu, że w całym świecie istnieją rzesze wierzących, które pragną zasadniczych przemian struktury społeczno-politycznej.

Niewątpliwie odpowiedź potwierdzająca od obu stron wymaga śmiałego spojrzenia, śmiałych decyzji — i odwagi w podjęciu płynących stąd praktycznych konsekwencji.

Dla socjalizmu związanego ze światopoglądem materialistycznym — to kwestia uznania wieloświatopoglądowości. Nie wydaje się, aby mowa była w tej chwili o ustępstwach, a więc o czymś, co mogłoby być wynikiem jakiegoś handlu, ubliżającego człowiekowi tam, gdzie idzie o sferę idei. Sądzimy jednak, że uznanie dzisiaj zasady wieloświatopoglądowości jest najprostszą konsekwencją dyrektyw marksizmu. Wiemy przecież, że marksizm to nie jest zbiór dogmatów, ale żywa filozofia, żywa dzięki temu, że jest odbiciem zmiennej rzeczywistości społeczno-historycznej, filozofia — pierwsza w dziejach świadomie wyrastająca z praktyki społecznej i jej służąca. Inny jest dziś rozkład sił, niż był w czasach, kiedy formułowali klasycy marksizmu — ci sami, którzy sformułowali jego dyrektywy — tezę o wyłączności ateizmu jako światopoglądowej bazy socjalizmu. Wówczas ludzie wierzący — prawie bez wyjątku — stali po drugiej stronie barykady; słusznie zatem jawili się ich oczom jako wrogowie proletariatu, jako wrogowie porządku socjalistycznego. Dziś sytuacja się zmieniła. Jest to wielkim triumfem klasy robotniczej i myśli socjalistycznej. Dokonała ona nie byle jakiego podboju. W obozie dążącym do socjalistycznej przebudowy świata znajdują się dzisiaj, czy mogłyby się w nim jutro znaleźć — masy wierzących.

Nie zdaje się nam, by słuszna miała być decyzja odrzucenia od budowy socjalizmu mas wierzących. Może przemawia przez nas w tej chwili niecierpliwość o lepszą przyszłość dla świata, może miłość dla człowieka i zapał. Ale przecież — po cóż opóźniać historię; szkoda sił niezaangażowanych w przyspieszenie historycznego procesu; szkoda sił, które — tutaj nie zaangażowane — służyłyby, chociażby swoją wiernością, obozowi reakcji, boć ich brak w obozie postępu czyniłby go słabszym. Jeśli przemawiamy za udziałem katolików w budowie socjalizmu, to nie czynimy tego dziś w imię starej karty praw człowieka, w imię haseł równości i braterstwa, nie ze względu tylko na samych tych katolików, lecz przede wszystkim w imię siły, która jest do zaangażowania w walkę o lepsze jutro świata, ze względu na cel wspólnej walki. Ruch społecznie postępowy katolików właśnie dlatego, że jest ruchem katolików, gromadzi materiał ludzki szczególnie zapalny, szczególnie dynamiczny. Człowiek głęboko wierzący, człowiek, który swoje działanie społeczne dla dobra ludzi widzi jako nakaz swojej postawy religijnej, który — mówiąc kategoriami teoretyków rewolucji francuskiej — wierzy w Boga i w nieśmiertelność duszy — jest człowiekiem szczególnie cennym w walce. Nie liczy się z ceną życia i śmierci, trudu i ofiary. Można liczyć na jego bojowe przygotowanie przez karty Ewangelii do heroizmu, równie przecież potrzebnego w codziennej, pokojowej a kierunkowej pracy, jak i w chwilach starcia.

Jeśli zatem nie byłaby słuszną rzeczą rezygnacja z wielkiej siły, jaką w skali światowej przedstawiają ludzie wierzący — należałoby ich przyciągnąć do budowy socjalistycznej przyszłości świata. A nie można z nimi przecież stanąć ramię w ramię bez pełnego, głębokiego ludzkiego szacunku dla ich światopoglądu, bez przyznania temu światopoglądowi prawa do płodności w życiu, prawa do kształtowania człowieka i jego kultury, czyli bez jasnego i konsekwentnego w praktyce społecznej uznania zasady wieloświatopoglądowości.

Przejdźmy teraz do stanowiska tych, którzy w imię katolicyzmu pragnęliby widzieć katolików z dala od wielkiej sprawy przebudowy świata, a przynajmniej pragnęliby nie widzieć ich zaangażowanych w tę przebudowę jako katolików. Przy takiej alternatywie samo postawienie zagadnienia wydaje nam się dziwne i zaskakujące — właśnie ze stanowiska katolicyzmu.

Jakżeż? Czyż katolik — mając po temu możliwość — ma w swoim sumieniu prawo nie być tam, gdzie stwarza się jakieś stałe społeczne warunki jego życia i jego duchowego rozwoju, gdzie się wykuwa kształt przyszłości, gdzie mowa jest o dobru człowieka? Czy wolno mu milczeć i trwać z założonymi rękami wtedy, gdy decydują się losy współczesnego pokolenia i przyszłych pokoleń? Na obojętność i inercję nie pozwoli mu chyba Chrystusowe przykazanie miłości bliźniego. To przykazanie, które tak głęboko tkwi u podstaw chrystianizmu, że włożyło w usta Chrystusa obraz Sądu Ostatecznego, przerażający zaiste dla tych, których nie ma tam, gdzie idzie o dobro drugiego człowieka. Zapowiada przecież Syn Człowieczy, że zaprosi na swoją prawicę tych, którzy Jemu, gdy był głodny, dali jeść, a gdy był spragniony — pić. Że na zdziwione zapytanie, iż Go nie znali, odpowie, że cokolwiek uczynili swemu bliźniemu — uczynili Jemu. A tych zaś, którzy Go znali, lecz Mu nie służyli w drugim człowieku — odtrąci w ogień wieczny.

Nie wydaje się nam możliwe, aby sumienie katolika mogło sygnować postawę obojętności wobec walki w świecie o jego kształt społeczny.

Sądzimy nadto, że program absenteizmu jest po prostu niewykonalny. Że jest absurdem z samego swego założenia. Zakłada przecież, że człowiek może się wymknąć swojej rzeczywistości historycznej, istnieć poza nią. Nie jest to możliwe. Żyjemy w społeczeństwie i historii. Bierzemy udział *volens nolens*, mniej lub więcej świadomie, mniej lub więcej aktywnie w procesie przemian historycznych naszego dnia. Nie łudźmy się, że tak nie jest, ani nie okłamujmy siebie. Każda praca człowieka, każdy jego czyn uczestniczy w historycznym procesie ścierania się ze sobą sił społecznych, walczących o przyszłe oblicze świata; każdy pada na szalę zwycięstwa jednej siły lub siły drugiej. Ten, kto głosi możliwość wycofania się człowieka z historii, możliwość wyplątania się jednostki ze wspólnoty społecznej, uderzy w realistyczną tezę filozofii katolickiej stwierdzającą, że człowiek jest istotą społeczną.

A zatem wycofać się z historii i z walki niesposób. Czy mamy na to ochotę, czy nie — uczestniczymy w procesie przemian historycznych i decydujemy — biernie, lub czynnie — o przyszłym kształcie świata.

A skoro tak się rzecz ma, stajemy — w imię naszej wolnej woli — wobec wyboru: po której stronie winniśmy się zaangażować zgodnie z nakazem katolickiego światopoglądu. Czy po stronie starego świata, czy przeciw niemu, z trudną konsekwencją budowania zrębów świata nowego.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nikt nie wykarczuje gruszy, jeśli ma korzenie i pień zdrowy tylko dlatego, że urodziła wśród wielu zdrowych owoców dwa czy trzy owoce nadpsute. Gdy jednak patrzymy na świat stary chociażby poprzez codzienne relacje ze zdarzeń politycznych, chociażby przez okulary literatury zachodniej, budzą się wątpliwości, czy za zdrowe można uważać korzenie i pień tego drzewa, które rodzi takie owoce, jak przygotowywanie świata do wojny z konieczności ludobójczej, jak dyskryminacja rasowa, jak wyzysk kolonialny, jak ucisk całych narodów kolonialnych, jak fale bezrobocia i strajków, jak potęgujące się w zawrotnym tempie sprzeczności społeczne, jak wrogość człowieka do człowieka. Znamy to wszystko, wraz z ciężkimi konsekwencjami, z naszej własnej niedawnej historii międzywojennej. To nie ślepe uprzedzenie. Toteż nasuwa się ostre, wyraźne pytanie — o korzenie i pień kapitalistycznej rzeczywistości. Pytanie o to, czy wolno nam z pobłażliwej lekkomyślności nie walczyć o usunięcie samych podstaw społecznego zła — i tym samym, czy wolno nam nie szukać rozwiązań nowych, a w konsekwencji, czy wolno nam nie zaangażować się w budowę takiej rzeczywistości społecznej, w której założeniach nie ma miejsca dla krzywdy i wyzysku człowieka przez człowieka. Nie wydaje się możliwe, aby sumienie katolika nie wybrało — jednoznacznie.

Oczywiście i decyzja niełatwa, i droga nie wysłana różami. Na każdej nowej drodze trzeba się liczyć z błędami swoimi i z błędami współtowarzyszy, z potknięciami, z koniecznością poprawek i korektur. Nowy świat — podobnie jak dziecko — rodzi się w bólach. Podobnie jak dziecko w trudzie doświadczeń zdobywa — niełatwo — dojrzałość i nieomylność pewnego kroku.

Jeśli obóz socjalizmu wzmocni się i zdynamizuje przez udział katolików w budowie nowego świata, jeśli w nich zyska materiał zapalny, materiał zdolny do heroicznego działania, bo w tym kierunku nastawiony przez wymagania Ewangelii — to z drugiej strony społeczność katolicka, Kościół, zyskuje w tych swoich wiernych ludzi silnych, aktywnych, odważnych, bezkompromisowo podejmujących walkę — zastęp takich ludzi, w których będzie żywą krwią pulsować prawda naszej wiary, którzy swoją postawą i działaniem świadczyć będą o tym, że nasza wiara jest żywa w swoich wyznawcach, że jest płodna, że kształtuje świat, że idzie z człowiekiem w jego codzienny trud, zamiast odgrywać rolę sentymentalnie zasuszonego kwiatka w niedzielnej książce do nabożeństwa. Na tej drodze faktem się stanie prąd odrodzeńczy przepływający przez świat katolicki, zmiatający indyferentyzm, walczący z dechrystianizacją świata chrześcijańskiego jedynie z metryki, spłukujący muł, jaki na życie społeczeństwa chrześcijańskiego naniosła kultura mieszczańska.

Czyż świat katolicki nie pragnie mieć w swoich szeregach zastępu ludzi, którzy działać będą dla dobra człowieka w imię swojej wiary, którzy będą ją wyznawać słowem i czynem, przeciwstawiając się regulowaniu jej w odświętny zakamarek swojego życia? Może to niewczesna duma jeśli powiem, że jako katoliczce wydaje mi się czymś wspaniałym to, że nasza polska rzeczywistość zrodziła u nas stan rzeczy rzadki w ostatnich wiekach historii Kościoła — ten mianowicie, że *confessio fidei* stało się u nas sprawą zasadniczą, czołową, sprawą sztandaru, pod którym jawnie, radośnie idziemy na codzień. Że w Polsce odrodziły się czasy wyznawców, że Kościół swoich wiernych może liczyć nie tylko wedle statystyki metrykalnej, ale według wyznawczej postawy, zahaczonej o najgorętsze sprawy naszego społeczeństwa i politycznego życia.

Pragnęlibyśmy, aby świat katolicki popatrzył na nas jako na tych, co przygotowują w rzeczywistości socjalistycznej, którą współbudują, przyszłe warunki dla życia Kościoła w ustroju socjalistycznym.

Wiemy z ust Chrystusa, że będzie z nami aż do skończenia świata. Wiemy, że Kościół aż do skończenia świata pełnić będzie swoją misję. Wiemy, że ją będzie pełnił — tak jak dotąd pełni — we wszelkich formacjach historycznych. Że ją będzie pełnił i w tej formacji, która wyjdzie zwycięsko ze współczesnych zmagań o społeczny kształt świata.

Ale misję swoją może pełnić Kościół w warunkach dla tej misji łatwiejszych, lub trudniejszych. A łatwość czy trudność warunków — to jest także ryzyko milionów dusz. Ryzyko — ich losów w wieczności. Bezcenna jest ludzka dusza. Mówi nam o tym dzieło Odkupienia. Czy wolno nam się godzić z góry na warunki najtrudniejsze, czyli na warunki, w których w grę wchodzi ryzyko zbawienia choćby tylko jednej duszy? Bo nie wydaje mi się katolickim rozumowanie reakcyjnych katolików: „Niech odpadną słabi, zostaną mocni. Jakość skompensuje ilość". To nie jest rachunek wieczności. To nie jest rachunek człowieka. Nie zastąpi jeden święty w najwyższym kręgu Dantejskiego Raju — tysiąca nieobecnych na kręgu choćby najniższym.

Udział katolików w budowie socjalistycznej przyszłości zapewnia Kościołowi łatwiejsze warunki jego Chrystusowej misji. Nie sądzę, by wolno było komukolwiek w świecie, kto w imię katolicyzmu prowadzi kampanię przeciw ruchowi społecznie postępowemu katolików, nie przeprowadzić rachunku prawdopodobieństwa w stylu rachunku Pascala. Z tego rachunku, nawet w oczach osobistego wroga socjalizmu, wyniknie, że niesposób nie liczyć się ze zwycięstwem proletariatu w skali światowej. Socjalizm, który nie będzie miał powodów, aby katolików *en bloc* traktować jako swoich pryncypialnych wrogów — da inne warunki misji apostolskiej Kościoła, niż socjalizm, który zapanuje wbrew katolikom. Socjalizm wzniesiony także rękami katolików nie będzie wrogiem Kościoła. Będzie w nim dla niego naturalne — z dawna przez katolików przygotowywane — miejsce.

Udział katolików w budowie socjalizmu, udział świadomych katolików nie tylko przysparza sił obozowi socjalistycznemu, nie tylko przyspiesza tempo zasadniczych przemian historycznych, ale także rzuca siew pod dobro apostolskiej misji Kościoła w przyszłości, na której kształt kapitalistyczny nikt chyba na serio, a przynajmniej bez zwątpień, nie liczy, boć przecież doświadczenie historyczne przeczy trwałości i niezmienności klasowych formacji społecznych.

Stefania Skwarczyńska

*) Przemówienie wygłoszone w dniu 31 października na Międzynarodowym Spotkaniu Działaczy Katolickich Chrześcijańskich.

Wręczenie nagród pietrzakowskich. Siedzą od lewej: Jerzy Stadnicki, ks. rektor Jan Czuj, Wojciech Żukrowski

W numerze m.in.:

Paul Cazin — Fragmenty Dziennika

Aleksander Rogalski — Wspomnienie o Zygmuncie Wojciechowskim

Juliusz Domański — Śladem myśli Ojców Kościoła

Zygmunt Lichniak — List do laureata

Wojciech Żukrowski — Pamiętniki wrogów

Jerzy Stadnicki — Krytyka i reakcyjność

Dm 159/52

OŚWIADCZENIE

uczestników Międzynarodowego Spotkania Działaczy Katolickich i Chrześcijańskich

KATOLICY oraz chrześcijanie innych wyznań zebrani w Warszawie z okazji 10-lecia ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce Ludowej wyrażają swoje jednogłośne i serdeczne życzenia trwałego, niosącego szczęście pokoju między narodami.

W oparciu o wyznawane różne poglądy polityczne i społeczne stwierdzamy wszyscy naszą wolę współpracy, każdy według swych możliwości w dziele utrwalania pokoju między narodami żyjącymi w różnych ustrojach społecznych. Mamy nadzieję, że ten pokój, że to współistnienie i świadomość zbiorowego bezpieczeństwa przyczynią się zarówno do zwiększenia niezbędnych dla wszystkich dóbr tak materialnych jak i duchowych.

Po 3-dniowych owocnych obradach stwierdzamy celowość dalszych spotkań chrześcijan różnych poglądów dla wspólnej pracy nad wydobywaniem wartości duchowych i doczesnych w różnych systemach społecznych.

Spotkanie serdeczne

„Zagadnienie, które rozwiązują teraz nasi polscy przyjaciele, jest może najważniejszym zagadnieniem na świecie."
(z przemówienia uczestnika belgijskiego, ks. Carette)

CELEM trzydniowych obrad, które odbyły się w Warszawie w ramach obchodu dziesięciolecia pracy ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce, stało się zapoznanie przybyłych na te uroczystości gości zagranicznych z problematyką dotychczasowych doświadczeń i perspektyw rozwojowych ruchu.

Stąd też wielokierunkowość i bogactwo dyskusji. Do pierwszych i zarazem najbardziej charakterystycznych jej momentów należało przede wszystkim ogromne zainteresowanie ludzi niejednokrotnie po raz pierwszy konfrontujących swoje poglądy z zaobserwowaną rzeczywistością — zagadnieniem udziału katolików polskich w budownictwie nowego, socjalistycznego ustroju.

Fakt „eksperymentu", który w Polsce w przeciągu dziesięciolecia pracy nad tworzeniem nowych form życia społecznego, gospodarczego i politycznego okazał się już rzeczywistością historyczną był na pewno dostateczną przyczyną zrozumiałych zainteresowań ze strony uczestniczących w obradach przyjaciół zagranicznych.

Przytoczony na wstępie cytat z przemówienia ks. Carette jest w pewnym stopniu ilustracją doceniania aziejących się w Polsce przeobrażeń. Cytat ten podkreśla jeszcze jeden fakt. Wbrew temu, o czym niektóre koła polityczne na Zachodzie wolą nie myśleć — dziesięć lat rozwoju Polski Ludowej stanowi okres, którego w historii narodu cofnąć się nie da. Dla nas są to fakty oczywiste. Katolicy w Polsce Ludowej żyjący w konkretnej sytuacji historycznej, po zetknięciu się z rewolucją socjalistyczną mają do wyboru dwie drogi: obowiązek patriotycznego udziału w budowie sprawiedliwszych form życia w swoim kraju, albo po prostu wybór postawy niepatriotycznej prowadzącej w swoich konsekwencjach na pozycje obce narodowi. Najpełniej swierdzenie to znalazło swoje odbicie w przemówieniu, które wygłosiła w pierwszym dniu dyskusji profesor Stefania Skwarczyńska. Droga, którą wybrali społecznie postępowi katolicy polscy prowadzi zarówno do oczywistego dobra narodu, jak i w równym stopniu służy ona skutecznemu rozwojowi życia religijnego.

Wbrew temu, czego by może nie oczekiwały niektóre koła polityczne na Zachodzie — mamy tutaj do czynienia z faktami i ta waga faktów w trzydniowej dyskusji została oceniona w sposób właściwy. Co to znaczy?

Na sali, gdzie odbywała się konferencja, zebrali się ludzie o bardzo odmiennych poglądach społecznych czy politycznych — ludzie, których łączyła jednak troska o dobro Kościoła, o jego rozwój w epoce, rodzącej nowe układy sił społecznych, nowe konflikty i nowe trudności.

Wbrew temu, czego by może chcieli przedstawiciele kół politycznych na Zachodzie kwestionujący słuszność takiej postawy — podkreślano niejednokrotnie znaczenie koegzystencji dwu istniejących systemów społecznych.

Nie ma powodu do tego, ażeby w imię jakichkolwiek interesów (a zwłaszcza w imię zasad ewangelicznych!) dyktować kierunek napięcia międzynarodowego. Dlatego podkreślano znaczenie pokojowej współpracy. Dla nas problem ten posiadał jeszcze jeden szczególnie cenny walor. Mówiono bowiem o współpracy, którą w obronie pokoju podjąć powinni ludzie wierzący wszystkich krajów. To był chyba pierwszy i najbardziej ludzki fakt wyrosłego porozumienia.

Gerhardt Desczyk, jeden z przedstawicieli niemieckiej Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej, oceniając kierunek dokonujących się na świecie przemian powiedział między innymi: „Jesteśmy w zgodzie w zasadniczych celach, chcemy ludzi reprezentujących światopogląd chrześcijański doprowadzić do rozumienia zadań naszego czasu, do rozumienia faktów, że zagadnienie nowego ustroju społecznego, który musi zwyciężyć, jeżeli ludzkość nie chce być poddana nowej katastrofie — jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi". Dalej zaś: „Każdy człowiek, a przede wszystkim każdy chrześcijanin nie może uniknąć decyzji — czy chce on wspólnie z siłami pokoju działać dla umocnienia pokoju, czy też przez swoją bezczynność torować drogę dla trzeciej katastrofy. Taka katastrofa, jak podkreślał niejednokrotnie papież Pius XII, stałaby się katastrofą nie tylko materialną, ale także katastrofą moralną i to o takich rozmiarach, jakie trudno przewidzieć".

Nie było faktem zaskakującym, że w tym samym dniu z mównicy, z której przemawiał delegat Demokratycznych Niemiec, padły bardzo podobne słowa z ust chrześcijańskiego działacza robotniczego Niemiec zachodnich, redaktora „Glaube und Wernunft", Ludwika Zimmerera.

„Pierwszą troską, która nas łączy — mówił Zimmerer — jest troska o utrzymanie i rozwój życia — o utrzymanie pokoju, jak również troska o stworzenie społeczeństwa, w którym braterstwo będzie nie tylko pobożnym życzeniem albo utopijnym ideałem, ale stanie się rzeczywistością społeczną".

Szczególnie cenne pod tym względem było również przemówienie prezesa Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej w Niemczech, wicepremiera Otto Nuschke.

Polska stała się terenem, na którym problem życia religijnego w nowym rewolucyjnym państwie obserwować można z całą ostrością. Tylko wówczas liczyć można na pełne zrozumienie potrzeb religijnych ludzi wierzących, kiedy postawa ich będzie postawą sprowadzającą się do najszerzej pojętego zrozumienia obowiązków obywatelskich. Mówił o tym wygłoszony w pierwszym dniu konferencji referat Wojciecha Kętrzyńskiego „Dziesięć lat doświadczeń Kościoła katolickiego w Polsce Ludowej".

Sprawa rozwoju katolicyzmu w Polsce zarysowała w dyskusji bardzo wyraźnie problem współpracy wynikłej wskutek zetknięcia się w konkretnej sytuacji społecznej dwu odmiennych światopoglądów. O tym, że istnieje obiektywna konieczność współpracy opartej o inspirację światopoglądową, świadczą lata budownictwa socjalistycznego w naszym kraju.

Do najbardziej interesujących zagadnień, które znajdują swoje potwierdzenie wobec sprecyzowanej powyżej racji, należy zagadnienie porozumienia między Państwem a Kościołem.

W nawiązaniu do tego, co mówi na temat porozumienia w swoim przemówieniu Andrzej Micewski, jeden z delegatów Wietnamskiej Republiki Demokratycznej ks. Vo Thanh-Trjuh scharakteryzował sytuację Kościoła katolickiego w Wietnamie. Ks. Vo Thanh-Trjuh mówił o tym, że w jego kraju, gdzie rewolucja doprowadziła do zerwania jarzma kolonialnego, Kościół ma możliwości prowadzenia swojej misji apostolskiej w tym stopniu, w jakim działalność katolików nie leży w sprzeczności z interesami narodu.

Zgodzono się w dyskusji również z faktem, że współpraca ludzi reprezentujących odmienne światopoglądy w interesie dobrze pojętej służby pokojowi i budownictwu lepszych form życia, nie jest niemożliwa. Dyskusja wskazała na konieczność takiej postawy przy jednoczesnym uwzględnieniu żywotnych interesów Kościoła.

Jak w praktyce polskich doświadczeń przedstawia się problem rozwoju życia religijnego — to był temat, który przewijał się niejednokrotnie w dyskusji.

Omawiano między innymi sprawę wychowania religijnego. Troska o pozaszkolne religijne wychowanie młodzieży, o bezustanną konieczność pogłębiania własnego światopoglądu i życia religijnego znalazła miejsce w szeregu wypowiadanych opinii.

Robert Lallouette z Francji mówił o konieczności szerszego rozwoju życia liturgicznego i biblijnego. Nie może być mowy o rozwoju katolicyzmu wszędzie tam (i to nie tylko w krajach demokracji ludowej), gdzie nie stawia się kwestii zwiększenia wysiłków zmierzających do pogłębienia wiedzy religijnej. I dlatego też tak ważna jest sprawa dyskusji nad metodami, które pozwolą na kształtowanie się głęboko religijnej postawy współczesnego człowieka.

Niklaus Manitius (NRF) zabierając głos w ostatnim dniu konferencji mówił o fałszowaniu wiadomości dotyczących sytuacji panującej w krajach budujących socjalizm. Są ludzie, którym zależy na tym, jak chociażby w Niemczech zachodnich, żeby nie uświadamiać społeczeństwu całej grozy Oświęcimia. Ludzie ci nie chcą też prawdy o świecie socjalistycznym. Niekiedy w obronie najwznioślejszych ideałów dążą oni do wytwarzania wrogiej i nienawistnej atmosfery.

Z tym większą radością przyjęte zostało przemówienie delegata Austrii, dr Hildegardy Mayr.

„My w Austrii — powiedziała dr Mayr — będziemy czynić wszystko, żeby sytuację polskich katolików wyjaśnić w naszym kraju, żeby przez szczerą i otwartą wymianę poglądów i myśli, przez wymianę kulturalną stworzyć między nami platformę porozumienia". Na konieczność żywszej współpracy wskazywał Bolesław Piasecki w swoim przemówieniu:

„Musimy mieć pełną świadomość, że tylko wzajemne sukcesy katolików i chrześcijan żyjących w obu światach społecznych, mogą uczynić wolność Kościoła w całym świecie w sensie przyrodzonym — realną".

Na pewno nawiązane podczas obrad kontakty staną się ważną przyczyną do spełnienia podobnego zadania. Dały one bowiem materiał do poważnych studiów i przemyśleń. Okazały się bardzo celową formą wymiany poglądów, wynikających z głębokiej troski o dobro życia religijnego na świecie.

Na zakończenie konferencji uchwalono jednomyślnie tekst telegramu przesłanego na ręce Ojca Świętego:

„My, katolicy Europy i Azji, zebrani w Warszawie, by rozważyć sposoby wprowadzenia w czyn w tym przekształcającym się świecie nauk Kościoła katolickiego, dotyczących tak trudnych zagadnień pokoju i sprawiedliwości — prosimy Waszą Świątobliwość o zrozumienie i pobłogosławienie naszych wysiłków. Potwierdzamy jednocześnie swoje wierne przywiązanie do naszej Matki Kościoła i synowskie posłuszeństwo Waszej Świątobliwości".

W dyskusji nad referatami: Bolesława Piaseckiego, Wojciecha Kętrzyńskiego („Dziesięć lat doświadczeń Kościoła katolickiego w Polsce Ludowej"), ks. prof. Kellera („Przeobrażenia w katolicyzmie polskim lat ostatnich") i Dominika Horodyńskiego („Rola chrześcijan w obronie pokoju i współpracy międzynarodowej"), głos zabierali Guy de Boschère (Belgia), Gerhardt Desczyk (NRD), Pierre Ricard (Francja), Ludwik Zimmerer (NRF), Antoine Allard (Belgia), pastor Karl Ernst Grueber (NRD), Robert Leroy (Belgia), John Todd (Anglia), Niklaus Manitius (NRF), Jean Luis Rebetez (Szwajcaria), dr Hildegard Mayr (Austria), Francis Legay (Francja), Friedrich Ferber (NRF), ks. Karl Spichal (NRF), Robert Lallouette (Francja), Christa Thomas (NRF), ks. Vo Thang-Trjuh, wicepremier Otto Nuschke, ks. Eduard Cliva (Czechosłowacja), Duong Vandam (Wietnam), ks. Kurt Keiser (NRF), Jean Goss (Francja), Faensen (NRD).

Z uczestników polskich głos zabierali: prof. Stefania Skwarczyńska, Andrzej Micewski, Mieczysław Kurzyna, ks. prof. Mieczysław Żywczyński, dr Jerzy Hagmajer i Wanda Żuromska.

Z uroczystości rozdania nagród

DLA uczestników tegorocznej uroczystości rozdania nagród im. Włodzimierza Pietrzaka, nowym tej nagrody laureatom — był to dzień dość szczególny. Notowane w pośpiechu sprawozdanie wypadałoby zacząć od zwięzłej z konieczności charakterystyki bohaterów dnia. Taki porządek nakazuje zwykła dziennikarska poprawność. Tymczasem pierwsze spotkanie inaugurujące obchód dziesięciolecia pracy ruchu społecznie postępowych katolików w Polsce, oprócz faktu „nagrodowych rozrachunków" przyniosło jeszcze jeden na pewno ważniejszy moment. I dlatego trzeba zacząć przede wszystkim od przypomnień, od zasygnalizowania atmosfery pierwszych naszych podsumowań, bo te właśnie przypomnienia nadawały charakter pietrzakowskiej uroczystości.

Przy ozdobionych barwnymi proporczykami stołach zajęli miejsce przybyli na uroczystość dziesięciolecia goście zagraniczni z Anglii, Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Niemiec z wicepremierem Otto Nuschke, przewodniczącym Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej na czele, z Czechosłowacji, Szwajcarii, Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Pierwsze oficjalne spotkanie z tymi ludźmi było oczywistym przejawem sympatii, zainteresowań, z jakimi działalność ruchu spotyka się za granicą.

„Idea — mówił przewodniczący jury, Jan Dobraczyński — przeorywuje się przez życie, a kultura narodu jest wyrazem tych zmagań. Nie ma tak wielkiej idei, której by wystarczyło raz tylko jeden walczyć o opanowanie życia. Nawet chrześcijaństwo nie jest jak Mount Everest, która przestała być problemem górskim, odkąd stanęła na niej para Hillary — Tenzing. Takie chrześcijaństwo potrzebuje nowych form działania, nowego wyrazu w kulturze. W katolicyzmie także padają — zwłaszcza w epoce tak bujnej, jak ta, w której żyjemy — dramatyczne pytania i byłoby małodusznością, jakimś brakiem katolickiego ryzykanctwa odkładać próbę odpowiedzenia na nie później."

W swoim przemówieniu Jan Dobraczyński podkreślił walor nagrody przyznawanej intelektualistom i naukowcom katolickim.

— „To, że ruch katolików społecznie postępowych w swej działalności położył tak wielki nacisk na twórczość kulturalną jest na pewno wyrazem dojrzałości ruchu i głębokiego zrozumienia dla potrzeb ruchu".

Jednym z najbardziej zasłużonych laureatów tegorocznej zagranicznej nagrody jest wielki pisarz francuski, niezmordowany tłumacz na język francuski Mickiewicza, Paska, Morstina, Norwida, Sienkiewicza, Cieszkowskiego, Berenta, Weyssenhoffa, Zapolskiej — Paul Cazin. Nagroda im. Wł. Pietrzaka jest dowodem wdzięczności za trud, jaki położył Paul Cazin w dzieło przyswojenia narodowi francuskiemu najwiekszych zdobyczy literatury polskiej.

Zabrakło na sali drugiego z laureatów — śp. prof. Zygmunta Wojciechowskiego. Formuła nagrody wspomina o osiągnięciach Zmarłego w naukowej pracy nad badaniami początków państwowości polskiej i dokumentów polskości Ziem Zachodnich. Ale poza tym był również, jak to słusznie określono, prof. Zygmunt Wojciechowski wielkim działaczem chrześcijańskiego miłosierdzia. „I to jest chyba także — mówił Jan Dobraczyński — jakimś argumentem do nagrody, zwłaszcza gdy spóźnia się ona i dopędza człowieka wtedy, gdy już zakończył on bieg swojej ziemskiej podróży".

Drugim laureatem nagrody naukowej jest ks. prof. dr Jan Czuj. „Spośród duchownych profesorów i naukowców — powiedział on — byłem jeśli nie pierwszym co do czasu, to pierwszym faktycznie, który po namyśle, bez pośpiechu, w głębokim przeświadczeniu, że trzeba tak postąpić — stanął — obok świeckich działaczy katolickich... Rozwija się społecznie postępowy ruch katolików w Polsce. Rozmach wydawniczy, umiejętnie prowadzona prasa codzienna i periodyczna zdobywa coraz szersze koła naszych katolików. Chciałbym podkreślić przy tej okazji życzliwość Stowarzyszenia „Pax" zarówno dla naszego Wydziału Teologicznego UW., jak również dla obecnej Akademii Teologii".

Jest ks. dr Jan Czuj postacią światłego uczonego (nagroda obejmuje jego osiągnięcia w dziedzinie patrologii) i zarazem jednym z najbardziej zasłużonych działaczy ruchu społecznie postępowych katolików w Polsce. Fakt przyznania tegorocznego wyróżnienia jest również wyrazem uznania za te osiągnięcia.

Najbardziej wzruszającym momentem dla uczestników niedzielnej uroczystości było spotkanie Wojciecha Żukrowskiego z delegatami Wietnamskiej Republiki Demokratycznej.

Jury postanowiło uwzględnić w swojej nagrodzie przede wszystkim wietnamski reportaż Żukrowskiego „Dom bez ścian". W przemówieniu wybitny pisarz nawiązał do tego faktu. Powiedział on m. in.:

„Widziałem francuskich żołnierzy i oficerów, płaczących jak dzieci, kiedy na ich zapiekłe z nienawiści serca spływała łaska przebaczenia. Siostry, żony i matki poległych Wietnamczyków żegnały ich, uwalnianych do ojczyzny, nie jak zabójców swoich bliskich, ale jak ludzi tragicznie zbłąkanych i oszukanych. To one, wietnamskie chrześcijanki, przywracały im wiarę we własne człowieczeństwo. To one przypominały im prawdziwą Francję...

Przebudzona Azja znajduje się w centrum zainteresowania świata. Ta ciekawość dokonujących się tam przemian jest zrozumiała dla ludzi myślących, których wzrok wybiega daleko w przyszłość. Dla ludzi, którzy czują współodpowiedzialność za formowanie nowego świata, a pragną zarazem unieść z przeszłości to, co i piękne, co stanowi podwalinę kultury chrześcijańskiej. Przecież z niej i nasza wyrosła..."

Przewodniczący jury omawiając decyzję przyznania Nagrody Młodych Jerzemu Stadnickiemu, określił debiut tego pisarza jako „jeden z wyjątkowo mocnych debiutów". Wyraził on nadzieję, że ten tak ciekawie zapowiadający się prozaik będzie pisarzem spełnionych nadziei.

O znaczeniu kulturalnej działalności ruchu społecznie postępowych katolików mówił na zakończenie uroczystości Zygmunt Lichniak.

„Prostą, chociaż wcale niełatwą w praktyce działania kulturo-twórczego konsekwencją nowych w tym zakresie zadań było podnoszenie rangi intelektualnej katolicyzmu w Polsce. Równało to się i skutecznej polemice z wszelkimi wewnętrznokatolickimi błędami fideizmu i wzmożeniu wysiłków w doskonaleniu pedagogiki działania społecznego i poszerzeniu skali zainteresowań w kierunku nawiązania ściślejszych kontaktów ze współczesną myślą katolicką innych krajów, zwłaszcza Europy zachodniej, równało się to wreszcie twórczemu zaangażowaniu w problematykę wielkiego dialogu filozoficznego, stającego się jednym z głównych ognisk myśli współczesnej.

Wielkie zadanie podnoszenia rangi intelektualnej musiało łączyć się w konkretnej pracy kulturo-twórczej katolików polskich z procesem pogłębiania świadomości społecznej, świadomości ideologicznej zobowiązań katolicyzmu wobec rozwojowych procesów historii. Równało się to i polemice z tradycyjną postawą absenteizmu społecznego i polemice z konserwatywnymi zapatrywaniami społecznymi, równało się wreszcie wielkiej pracy nad tworzeniem pozytywnego systemu przemyśleń, uzasadniających twórcze uczestnictwo katolików w rewolucji socjalistycznej".

W. T.

KONRAD EBERHARDT

PORTRET

GDY odczytywałem brulion tego artykułu, ogarnął mnie niepokój: miałem nakreślić sylwetkę Paul Cazina jako człowieka i twórcy, scharakteryzować jego życie i działalność literacką, a w rezultacie rzuciłem nieco uwag na marginesie książki „l'Humaniste à la guerre".. i to wszystko. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że nie obrałem najgorszej drogi. Trzeba poznać całą twórczość, aby móc wydać sąd o pisarzu, ale bywają książki, które streszczają swego autora tak wyraziście i trafnie, że pozostałe utwory wydają się go raczej od krytyka czy biografa oddalać. Podobnie wygląda sytuacja z Paul Cazinem i jego „Humanistą na wojnie". Obok tej książki, w dorobku prozatorskim pisarza znajduje się szereg innych utworów, popularne niegdyś we Francji „Décadi" (1921), „l'Alouette des Pâques" („Skowronek Wielkanocny" — 1924), „l'Hôtellerie du Bacchus sans tête" („Zajazd pod Bachusem bez głowy" — 1825), „Lubies" („Zachcianki" — 1927), „La tapisserie des jours" („Tkanina dni" — zbiór esejów), no i oczywiście cała seria świetnych przekładów z literatury polskiej. Ale nie o nie w tej chwili chodzi. Paul Cazina, oryginalnego twórcę i myśliciela, najpełniej charakteryzuje właśnie ten tom „listów z okopów" do żony, wielki esej epistolograficzny, „l'Humaniste à la guerre". Książka ta zachowuje do dzisiaj swoją zdumiewającą świeżość intelektualną. Być może dlatego, że jest w większym stopniu dziełem myśliciela niż prozaika. Postarzała się już konwencja literacka, w jakiej Cazin napisał swoje pozostałe utwory, ale tutaj jego myśl pozostała młoda. Gdy czytam dzisiaj tę książkę, z przykrością wspominam inne literackie dokumenty pierwszej wojny światowej, dzieła Duhamela, Dorgelèsa i Drieu la Rochelle. Ile w nich fałszywej pozy, frazeologii, ckliwości. „Humanista" natomiast wychodzi zwycięsko z próby czasu. Może dlatego, że tkwiąc w samym centrum potworności wojny — potrafił równocześnie zachować wobec nich dystans filozofa, który nie poddaje się przemocy choćby najbardziej druzgocących człowieka wydarzeń.

Dziwną podróż odbywa w tej książce Paul Cazin. Obok karabinu niesie z sobą również „uzbrojenie" duchowe i intelektualne: zbiór Psalmów i „Odyseję" Homera. To są najbliżsi przyjaciele. Ale — oczywiście, niewidzialne — krążą wokół niego duchy innych mistrzów myśli i słowa. Te listy do żony, pisane w okopach w najstraszniejszych warunkach, pełne są literackich alegorii, nawiązań, porównań. Uderzanie deszczu o dach żołnierskiej ziemianki przypomina mu Chateaubrianda, to on pisał niegdyś o bębnieniu kropel deszczu o dach swojego powozu. W lasach d'Ailly, które były widownią zaciętych walk, odnajduje egzemplarz „Adolfa" Benjamin Costanta i cytuje jego uwagi na temat potrzeby wiary. Poprzez wszystkie jego relacje z tego dna nędzy i cierpienia, z pola bitwy i okopów — przewija się jak motyw muzyczny temat „Odysseji", wędrówka i powrót Ulissesa. Najstraszniejsze nawet zdarzenia, jakich jest świadkiem, nie odbierają mu horyzontalnego widzenia rzeczywistości, dymy pożarów nie zasłaniają mu nieba, a widok ludzkich cierpień wiąże go z głęboko bijącym pulsem historii, nasuwa raz wizję krzyża, to znowu obraz Hioba siedzącego na zgliszczach swojego domu. Ten właśnie rys jest chyba istotą humanizmu Cazina. Nie osiągnie tego pisarz, którego wchłonie przeżywana rzeczywistość i który będąc (równocześnie) widzem i osobą dramatu nie będzie umiał związać go z całą ludzką historią.

W postawie Paul Cazina jest coś z wielkiego cesarza-intelektualisty, Marka Aureliusza. Myśli, które w huku pękających szrapneli znalazły swój kształt literacki pod piórem francuskiego pisarza — przypominają niekiedy swym nastrojem i tokiem myślowym „Rozważania". Posłuchajmy słów wyjętych z „Humanisty na wojnie": „Wielka burza poruszyła śpiące wody. Odkryła wnętrza dusz, wydobyła ukryte skarby heroizmu i podłości, egoizmu i wyrzeczenia. Słyszę młodych ludzi, których oburza nawet myśl o wesołym życiu toczącym się o kilka kilometrów od linii frontu. Udało mi się uzbroić w obojętność i pogardę wobec śmierci. Gdy wnikam w swe serce, kiedy po alarmie, bombardowaniu lub forsownym marszu powraca ono do normalnego rytmu — znajduję w sobie tylko wielkie poddanie się konieczności i surowe postanowienie godnego przyjmowania jej nieuniknionych ciosów". Czyż nie tak niegdyś, pod rzymskim namiotem, formułował swój stoicki program Marek Aureliusz? I stosunek do człowieka jest podobny, pełen wyrozumiałości i wiary w tkwiące gdzieś głęboko w nim pokłady dobra. Cazin, powracając do przeszłości historycznej, najchętniej odnajduje rzadkie momenty w dziejach, kiedy ludzie w imię wspólnych zasad byli sobie braćmi. Obcowanie z literaturą antyku pozostawiło na jego książce i na innych zresztą swój ślad — mądrą, spokojną zadumę nad światem, pasję poszukiwania w nim dobra i piękna, mimo skąpej ich ilości, jaką ukazuje nam na zewnątrz. „Gdyby Anioł, wysłannik niebios, powrócił — odnalazłby więcej, niż dziesięciu sprawiedliwych w Sodomie" — mówi Cazin.

W istocie, we wspaniałej książce Cazina czuje się jakiś nerw starożytności, wyczuwa się więź podwalin naszej kultury z jej dzisiejszym przeobrażeniem. Ulisses, który wraz z Cazinem wędruje aż na pola Verdun, urasta do miary symbolu. Starożytność powraca do autora tak, jak on w czasach swej wczesnej młodości biegł na ruiny zabytków rzymskich w Autun czy Aix, niegdyś prowincji Imperium. Cazina tak dalece owiewał ów klimat starożytności, że — jak wynika z lektury „Humanisty na wojnie" — zaraził nim swych kolegów, prostych żołnierzy. Wreszcie musiał im dokładnie zrelacjonować dzieje nieszczęsnego wygnańca, męża Penelopy. Audytorium było poruszone. „Kapral zapytał mnie — pisze Cazin — jaki stopień wojskowy nosił Ulisses. Odpowiedziałem, że był generałem. Ale opowiadałeś, że płynął statkiem — zaoponował kapral. — Tak, rzekłem, był on również admirałem". Ale nie chodzi tutaj tylko o anegdotę. Trzeba zapoznać się z żarliwym przeżywaniem antyku u Paul Cazina, aby móc ocenić przeżycie chrześcijaństwa w jego rozważaniach. Jest w tych myślach intelektualna chłonność, jakaś bardzo piękna gwałtowność. Gdy ostatnio czytałem dziennik prywatny pisarza (duże jego fragmenty zamieszczamy w tym numerze), odnalazłem w nim coś, czego dotąd nie znajdowałem u Cazina — gorycz. Najwidoczniej przejście przez życie dokonało tego, czego nie dokonał front wielkiej wojny. Z „Humanisty na wojnie" promieniuje, mimo wszelkich stoickich wpływów, jakaś radosna wiara w sens świata, w twórczą potęgę katolicyzmu, w ostateczny sens dokonujących się historycznych wydarzeń. Być może tłumaczy to również wiek Cazina, miał bowiem, gdy pisał tę książkę, 34 lata.

Mniej więcej tyle lat liczył sobie Ernest Psichari, gdy udawał się na tę samą wojnę, jak na krucjatę o najwyższe cele moralne. Wierzył, że z niej narodzi się wielkie odrodzenie świata, że na polach jej bitew zatriumfuje sprawa Krzyża. Padł wystarczająco wcześnie, aby nie doczekać się swego wielkiego rozczarowania. Padł również Charles Péguy, podzielający w części entuzjazm swego ucznia. Postawa Cazina była odmienna. Nie wiązał

PAUL CAZIN

Nołatki o sprawach polskich

2 listopada 1953 r.

DOWIADUJESZ się, mój drogi, z tych wycinków prasowych, że chociaż tak brak mi talentu organizatora — jestem w trakcie organizowania manifestacji polsko-francuskiej, ku czci mało znanego poety, emigranta z 1830 roku, późniejszego dziennikarza z Aix. Usiłuję odwrócić ludzkie umysły od codziennych trosk, kłótni partyjnych i zwrócić je ku szlachetnym tradycjom przeszłości, ku pogodnym rejonom Poezji i Sztuki, ku temu, co jest trwałe i wieczne, a więc kojące i pocieszające. I tylko dzięki moim dyplomatycznym zabiegom przedstawiciele Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej trącą się kieliszkami nad tym romantycznym grobem z merostwem miasta Aix.

Ale dowiadujesz się równocześnie, że jeden z naszych wielkich dzienników regionalnych *Meridional France* z Marsylii, potępiał w swych anonsach to dyplomatyczne przedsięwzięcie. Dla niego, jak dla gen. Franco, Polska nie znajduje się w Warszawie, lecz w Londynie, podobnie jak dla europejskiej koalicji XVIII wieku Francja była w Coblenz, a nie w Paryżu.

Gdy przypomina się tym panom, że Lafayette mógł powiedzieć pewnego dnia: „Cała Francja jest dziś Polską" — odpowiadają mi: „Jak to, chcecie, aby była nią dzisiaj, skoro Polska właściwie nie istnieje?". Zarzucają Rosji, że zagarnęła Polskę i popychają ją w rosyjskie objęcia. Ponieważ w Warszawie działa rząd, który się tym panom nie podoba — wszystko skończone, Polski nie ma. Na świecie liczą się dla nich tylko systemy polityczne, reżimy, państwa. Istoty ludzkie, rodziny, narody nie liczą się wcale.

Emigracja uważa mnie za zdrajcę „polskiej sprawy". Moi przyjaciele, katolicy, wyrażają swoje bolesne osłupienie na wieść, że jestem wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia, na którego czele stoi Joliot-Curie, i mimo że do zarządu wchodzi również kilku duchownych oraz pewna liczba osób nie dających się zaliczyć w tym samym stopniu, co i ja — ani do marksistów, ani komunistów.

Pewien młody burgundzki dziennikarz woła do mnie głosem pełnym oburzenia i lęku: „Ani pan, ani ja nie wiemy, co się t a m dzieje..."

Słyszycie? On nie wie, przyznaje się, że nic nie wie i sądzi równocześnie, że t a m wszystko tonie we krwi i we łzach. Dlatego, że za wszelką cenę dla zbawienia świata potrzeba, aby tak właśnie było. Trzeba, aby wszystkie pobożne usta mogły wyśpiewać Litanię Narodów:

„Biedna Polska — Szczęśliwa Hiszpania — Niegodziwa Rosja — Dzielna Anglia — Waleczna Ameryka..."

Potrzeba, aby kanonik Vincent mógł głosić w *La Croix* szereg wstrząsających sentencji biblijnych o opuszczeniu i zbezczeszczeniu świętego miejsca.

To, co „najlepszego" napisano w tym duchu pochodzi z *Wiernej Polski*, organu *Misji Katolickiej Paryża*, z 12 października ubiegłego roku.

„Wieści, które dochodzą do nas na temat wyświęceń kapłańskich w Polsce, są niewypowiedzianie pocieszające. Mimo — (śledźcie uważnie tę gradację!) — terroru, prześladowania i licznych szykan ze strony ateistycznego reżimu, szeregi duchowieństwa wzrosły i świadczą o rosnącej sile Kościoła Katolickiego w Polsce".

Zdanie to, zgodnie z logiką, należy tak przetłumaczyć: „Mimo raka, jaki go toczy, galopujących suchot i odcisków na palcach u nóg — mimo licznych szykan organizmu — nigdy zdrowie naszego chorego nie było równie kwitnące".

Ale na cóż przyda się sarkazm i szyderstwo? Należy raczej wzruszyć ramionami i powiedzieć chłodno: „To jest po prostu dziecinada".

Przypominają mi oni starą Mme Cuchenille z „Décadi", która chciała równocześnie cieszyć się swym zdrowiem i swoją chorobą.

Przypomniały mi się wykłady prawa u profesora Barthélemy dotyczące zagadnienia rozdziału Kościoła i Państwa, na które, pół wieku temu uczęszczałem w Paryżu.

Posiadam jeszcze te wykłady, odnajduję w nich zdanie: „Istnieje w katolicyzmie partia, złakniona prześladowań".

20 listopada 1953 r.

ISTNIEJE w Polsce konflikt Kościoła i Państwa, konflikt bardzo poważny, bardzo bolesny. Wydaje się, że można Państwu wyrzucać niekiedy naruszanie cudzych praw, nadużywanie władzy, na które nie podobna się zgodzić, niemniej wypadki te są wykorzystywane i deformowane w obrazie, jaki roztacza przed nami nasza prasa.

Jest to kampania kłamstwa i kalumnii — jeśli niesłuszne przypisywanie okrucieństw jest kalumnią. I tak pierwszego tego miesiąca *Echo des Françaises*, biuletyn Ligi Kobiet Akcji Katolickiej, obwieścił „prześladowanie", które można porównać jedynie z czasami „pierwszych chrześcijan" i zachęcał swoje czytelniczki do ,wylewania łez nad losem „torturowanych księży".

Ponieważ otrzymuję codzienną prasę polską, zarówno rządową, jak i katolicką, zauważyłem tego samego dnia tj. pierwszego tego miesiąca w *Słowie Powszechnym* opis wspaniałej intronizacji nowego biskupa we Włocławku. Budynki kościelne zalane tłumami, nie kończące się procesje, chorągwie, mitry — oto obraz, jaki przedstawiały ulice polskiego miasta podczas owych „powszechnych prześladowań".

Sprowadziłem pewną ilość egzemplarzy tego dziennika dla Francuzów, do których przemówić powinny chociażby ilustracje i daty. Niektórzy upierają się wprawdzie, aby dostrzegać tam tylko „propagandę bolszewicką".

Zapytujesz mnie, kim jestem? Otóż jestem chrześcijaninem, który usiłuje podtrzymać afirmację spirytualizmu wobec marksizmu, i polonistą, który stara się przekonać ludzi, że Polska istnieje.

24 listopada 1953 r.

REGIONALNY dziennik burgundzki, *Courrier de Saone et Loire*, przedrukowuje w całości mój artykuł o Gaszyńskim, który ukazał się w *Provençal*, nie omijając w sprawozdaniu z uroczystości „przedstawicieli dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej", jak to uczynił paryski *La Croix*.

Peuples Amis przypięły mi etykietkę, która mi się podoba: „humanista chrześcijański". Jest całkowicie słuszna. W istocie, nie jestem ani uczonym, ani myślicielem, ani profesorem, ani filologiem — jestem humanistą. I jestem chrześcijaninem, jeśli być nim, znaczy uznawać i służyć — posłannictwu pokoju i miłości między ludźmi. Mówiąc szczerze, nie jestem człowiekiem czasów, w których żyję. Powinienem przyjść w XVI wieku, w czasach ewangelizmu i Lefèvre'a d'Etaples.

I nie łudzę się bynajmniej zasięgiem mojej działalności. Jestem już stary, zapomniany, bez środków, świadomy braków swojej wiedzy. Nie odczuwam wprawdzie lęku ani wobec niebezpieczeństw zewnętrznych, ani wobec przekonań wewnętrznych, jestem jednak pełen skrupułów, pełen zwątpienia w samego siebie — do czego więc mogę być zdolny?

Mógłbym jeszcze podjąć pióro zdolne stoczyć walkę, mógłbym w tę polemikę rzucić żar gorącego serca. Ale nie lubię polemik. Gdy byłem młody, pełen entuzjazmu, gdy miałem umysł iskrzący się dowcipem, mówiłem sobie: nadejdzie dzień, kiedy ludzie będą się mnie lękać, abym ich nie wyśmiał. Pisałem niegdyś uwagi o sztuce wykpiwania ludzi. Teraz ja się tego lękam. Czegóż więc poszukujemy? Pokoju, porozumienia między ludźmi. Czyż osiągnie się to porozumienie drogą drwin, gwałtowności, poprzez te ohydne karykatury rzeczywistości, od których roi się prasa wszystkich partii?...

...Oto głowa Żyrondysty, obiecana wszystkim gilotynom...

...I moje środki, o których mi mówisz. Wiesz, że pamiętnego dnia, gdy wchodziłem na cmentarz na czele całego miasteczka, obok ministra pełnomocnego, mistrza ceremonii, pośród całej tej pompy wzruszającej i uroczystej — myślałem o jednym, że dokonało się coś, co musiało się dokonać, niezależnie ode mnie, mimo że ja podjąłem tę inicjatywę.

Ale nazajutrz, po przebudzeniu, moja stara „mistyczna" głowa, z której nasz prezes Joliot-Curie musi śmiać się szczerze — poczęła pracować i wyobraziłem sobie, że wypełnia się we mnie Pismo Święte, które mówi: „I podniósł ubogiego z kupy gnoju, aby go posadzić między książętami jego narodu". Nie przestałem jednak dostrzegać, że przechodząc do pierwszego rzędu pozostaję nadal na podściółce swojej nędzy, ze swoimi czterdziestoma tysiącami franków, z których muszę wyżywić żonę i dwoje dzieci. Gdy nie mam już ani grosza, muszę biec do dyrektora L'Ecole Normale, aby dopomnieć się o należność za kilka odczytów o Polsce, z czym administracja zwleka od miesięcy...

...Ale gdy gadam o tym wszystkim — nadchodzą Twoje dokumenty dotyczące stosunków Kościoła i Państwa w Polsce. Czy wiesz, o czym myślę przede wszystkim pośród tego zgiełku?

O polskim narodzie, który darzę swoją miłością od pięćdziesięciu lat, pamiętam pod rządami trzech zaborców, pod Piłsudskim, pod sanacją faszystowską — o narodzie prześladowanym, niepokojonym, wykolejonym, pomiędzy komedią fałszywych cudów i tragedią dekretów Świętego Officium, między obowiązkiem patriotycznym i religijnym.

Pokój. Stale powraca się do niego. Czyż nie jego domagają się ludzie z czterech stron świata? Czyż zaprowadzi się pokój na świecie, jeśli przedtem nie zagości on w ludzkich duszach?

Na pewno, trafnie to zauważyłeś, jest we mnie coś z księdza, ponieważ myślę przede wszystkim o ludzkiej duszy. Ale nie w sposób Claudela albo innych gorliwych wyznawców prozelityzmu wyznaniowego, którzy pragną zdobywać dusze ludzkie „dla siebie". „Da m i h i animas". Dusze ludzkie nie należą do nikogo, jedynie w Bogu pragnęłyby pozostać.

To właśnie Ewangelia nauczyła mnie współczuć doli ludzkiej, nauczyła mnie miłości dla ludu. I śledzę z zaniepokojeniem, w jaki sposób jego nauczyciele duchowi i wychowawcy świeccy działają, aby zapewnić jego szczęście.

...Ja również wierzę, że Chrystus zbudował Kościół i że dokonał tego, aby myśl Boża znalazła mieszkanie na ziemi. Bóg jest moim głównym postulatem — wart jest ten postulat tyle, co i inne.

Chciałbym mieć pewność, że rząd polski dotrzymuje ściśle granic rozdziału między Kościołem a Państwem. I że konflikt między Kościołem w Polsce a Watykanem ma podłoże jedynie polityczne.

Nie odczuwam specjalnej miłości dla Watykanu. Uznaję, że biskupowi Rzymskiemu należy się szacunek i cześć jako głowie Wielkiego Kościoła, ale nie lubię niemądrego, przesadnego kultu dla osoby papieża, wprowadzonego ostatnio w naszych czasach.

Zdaję sobie sprawę, że zapał, gorąca wiara, mogą być pięknymi cnotami, ale wyobraź sobie, co odczuwam otwierając pisma katolickie, znajdując się wobec tej trzódki owiec usmażonej w doskonałości, jak w cukrze, tych wszystkich ludzi nieomylnych, nieskazitelnych, którzy zawsze mają rację, których nie podobna zaatakować, „dobrych" w jednym słowie, gdy cała reszta to „źli" — wobec tej całej komedii głupoty i arogancji.

Gdy czytam w kronice *Monde'u*, że Rzym w wielu okolicznościach znajdował się jako „Defensor Poloniae victae" — przypominam sobie, co napisał Alfred Loisy: „Na próżno byłoby szukać w aktach pontyfikalnych wyraźnej deklaracji określającej najistotniejsze prawa Polski". I przypominam sobie wszystko to, czego nauczyła mnie historia tego kraju, którą znam dość dobrze, szczególnie z okresu naszego Gaszyńskiego.

W epoce romantycznej myśl religijną Polski przeorywała schizma. Ale obecnie źle życzyłbym Polsce, gdybym przyczyniał się do czegoś innego niż do uspokojenia.

...31 października *La Croix* napisał: „z 22 biskupów polskich większość przebywa j e s z c z e na wolności itd...." Jeszcze, ale poczekajcie, czytelnicy, niebawem... To już nie jest dziennikarstwo, to jest raczej proroctwo i apokalipsa.

Prasa katolicka utrzymuje, że biskup kielecki oskarżony o szpiegostwo jest całkowicie niewinny.

Nie znalazła ona ani słowa pobłażliwego uznania dla rządu, który podniósł z ruin tysiące kościołów, opactw, klasztorów.

Gdyby Warszawa zorganizowała Kongres Eucharystyczny starannie przygotowany przez kilka tysięcy aresztowań, gdyby Prezydent Bierut posiadał kaplicę jak Franco pobożnie modlący się każdego dnia za dusze pewnych zmarłych tajemniczo generałów, których śmierć utorowała mu drogę do władzy — katolicy francuscy biliby brawo.

9 grudnia 1953 r.

...Cała katolicka kampania antypolska — która przypomina w wielu punktach atak w 1936 roku na nieszczęśliwą Hiszpanię — stara się zaprzeczyć, wykreślić, umniejszyć wolność i indywidualność, jaką zachowuje dzisiejsza Polska. Dokonałoby się wielkiego dzieła, gdyby udało się przekonać opinię publiczną, że istnieje nie tylko naród polski, ale również Państwo Polskie utworzone przez Polaków, które niezależnie od znaczenia przypisywanego mu przez poszczególne opinie, w tym stopniu, na jaki zezwala układ okoliczności podtrzymuje międzynarodową pozycję Polski. I ta pozycja ma dla nas wielkie znaczenie.

Rozdzielić kraj od jego rządu nie jest łatwym zadaniem. Oto ocena uroczystości ku czci Gaszyńskiego dokonana przez *Meridional France:* „Polska Rzeczypospolita Ludowa, zapominając, że Gaszyński był jednym z bojowników o niepodległość polską wobec Rosji i że z tego powodu stał się trwałym symbolem wolności swojej ojczyzny — postarała się o swoją reprezentację podczas uroczystości. I ta obecność z pewnością przyciągnęła pewną ilość radnych miejskich grupy komunistycznej, którzy na ogół nie mają zwyczaju uczestniczyć w obrzędach oficjalnych. Przynieśli więc Konstantemu Gaszyńskiemu, który, gdyby żył dzisiaj przeciwstawiłby się jak niegdyś, w 1830 roku „opiece rosyjskiej" — dowody swej sympatii, jak najbardziej nieuzasadnionej".

Tyle słów w próżnię. Któż może przewidzieć, gdzie dzisiaj znajdowałby się Gaszyński — w Londynie czy w Warszawie?

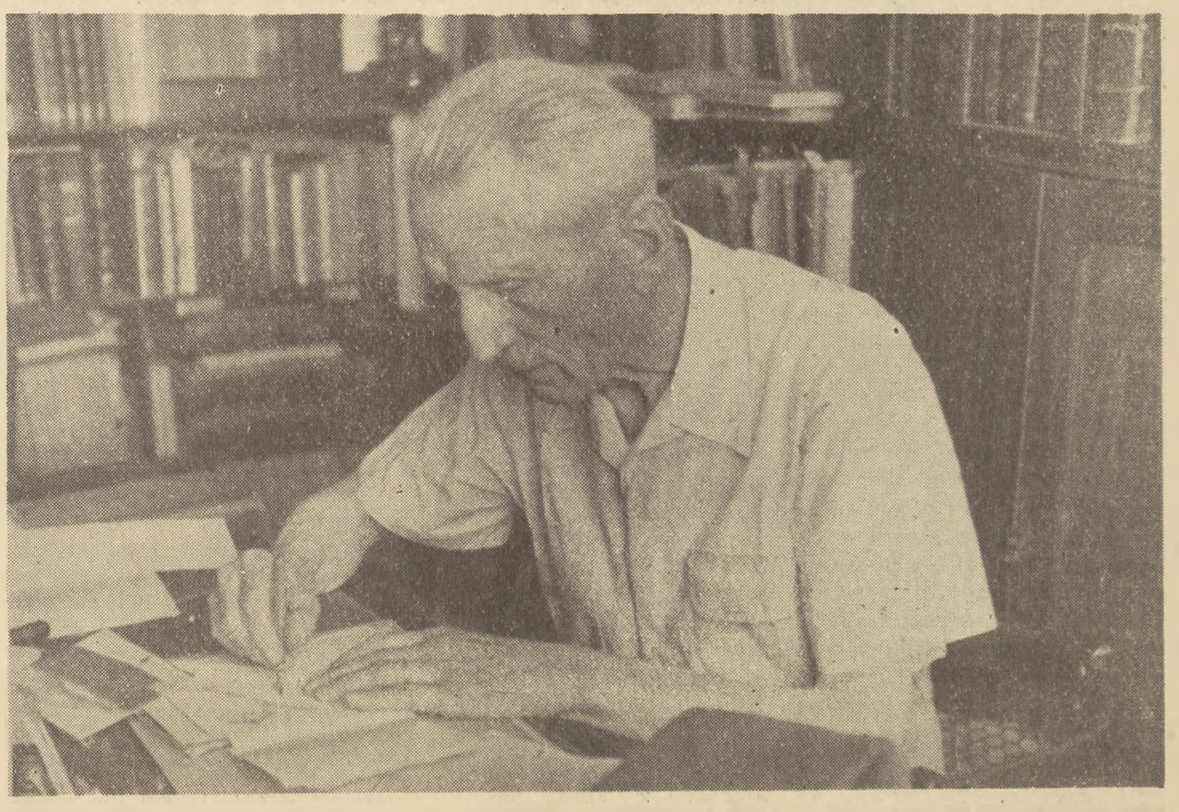

„...za działalność honorowego ambasadora literatury polskiej we Francji Cazin otrzymuje tegoroczną nagrodę im. Pietrzaka" (z przemówienia Jana Dobraczyńskiego)

RADY DLA POLONISTY

List Ambasadora Republiki Francuskiej w Polsce, Leona Noel do Paul Cazina.

Drogi Przyjacielu,

Prawdziwa przyjaźń żąda absolutnej szczerości i dlatego nie chciałbym zatajać przed panem tego, co następuje: pewna osobistość o wyjątkowym znaczeniu, otaczana szacunkiem przez całą naszą okolicę wystosowała do mnie list, który mnie przejął głęboko i którego niektórych ustępów nie chciałbym przed panem ukrywać" .

„...Przyjaciel pana (tj. Paul Cazin — przyp. tł.), który tak wspaniałą zachowywał postawę wobec Niemców, obecnie uznał za stosowne ulec wobec nowego totalitaryzmu wschodniego. Należy obawiać się, aby nie przeszedł na służbę Ambasady Polskiej, która nie zawaha się użyć prestiżu jego nazwiska do realizacji swoich celów. Zdając sobie sprawę z wpływu, jaki ma pan na niego, pozwalam sobie wyrazić zaniepokojenie jego przyjaciół..."

Mój korespondent jest człowiekiem godnym szacunku, odznacza się delikatnością i najlepszą wolą.

Odpowiedziałem mu, że po pierwsze: wykonuje pan prace czysto literackie, po drugie, że pana projektowana podróż (do Krakowa na jubileusz Akademii Umiejętności — przyp. tł.) jest zgodna z naszą taktyką podtrzymywania więzów łączących z nami narody, z których nie chcemy całkowicie zrezygnować, po trzecie, że musi pan zdobywać środki utrzymania i że wolałby pan z pewnością znaleźć we Francji, wśród naszych rodaków, publiczność, wydawców, redaktorów gazet i pism, wystarczająco światłych i odważnych, aby mógł pan powierzyć im owoce swego wielkiego talentu itd.

...Ale brak zaufania wzrasta... Dominujący wpływ sowiecki zaznacza się coraz wyraźniej itd.

*

NIE przepisałem swojej odpowiedzi. Wydaje mi się, że podziękowałem mu grzecznie, stwierdzając, że przyznaję się do owych trzech punktów. Ale uśmiechałem się nieco po cichu i zapytywałem się, czy nie było to zwykłe udawanie, czy on sam nie wymyślił owego listu.

Ta postawa wielkoduszności: „Nie chcemy zrezygnować całkowicie..." — wzbudziła we mnie liczne refleksje.

W większym stopniu ja potrzebuję Polski, niż Polska mnie potrzebuje. Potrzeby... oczywiście nie chodzi tylko o płaskie potrzeby materialne. Ale te „potrzeby", odpowiedzialność wobec rodziny... Oczywiście, wolałbym nie zależeć od „zagranicy".

Co czynić?

Gdyby Francuzi ocenili moje polonistyczne kompetencje, do nich należałoby mi się zwrócić o zapewnienie mi niezależności materialnej. Ale to właśnie Rząd Polski przyszedł z pomocą staremu zrujnowanemu pisarzowi francuskiemu i on dotąd zapewnia mu chleb.

Od czterech lat nie wymagał ode mnie niczego ponadto, czego jakikolwiek rząd może oczekiwać od profesora literatury. Jakim prawem wobec tego znajdują się ludzie, którzy mają odwagę przemawiać do mnie z pogardliwym współczuciem: „Ma pan związane ręce". Mogliby to stwierdzić dopiero wówczas, gdyby wymagano ode mnie rzeczy nie odpowiadających moim przekonaniom. Ale i tak powiedziano by, że dostosowuję moje przekonania do moich interesów.

Niech tak będzie, gorzkie doświadczenia mojego życia dodają mi odwagi — jeśli nawet nie prawa — kpić sobie z wszystkiego, co ktokolwiek mógłby powiedzieć.

W swym liście z 30 listopada 1952 r. Ambasador Noel pisał: „Pragnę — i zechce pan pozwolić, abym powołując się na naszą przyjaźń wyznał to panu — żeby zachowując na płaszczyźnie literackiej, historycznej, kontakty, jakich wymaga prowadzenie pańskiego lektoratu, unikał pan zaszczycania swym nazwiskiem organizacji lub demonstracji, które posiadają cele odmienne od literatury i sztuki".

Słowa te skierowywał z pewnością w stronę Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Francuskiej.

Pozostaję mimo jego obaw, dumny z zajmowania stanowiska wiceprezesa Stowarzyszenia, które do grona swych kierowników zalicza takich ludzi, jak Paul Rivet, naukowców, jak dziekan Patte, Charles Bruneau, M-lle Erhard, Stanislas Fumet, jednego generała, księży i wielu innych zasłużonych ludzi.

Ostatni list od Leona Noël otrzymałem 24 stycznia 1953 r. Posłałem jego żonie życzenia na Nowy Rok 1954. Nie otrzymałem odpowiedzi.

28 kwietnia 1954 r.

DZIWNE, że dotąd nie udało mi się utworzyć w Aix — koła przyjaźni francusko - polskiej. Uprzedzenia są bardzo duże, ludzie sądzą, że przystępują do komunizmu.

Ale wydaje mi się dziwniejszy fakt, że koło to powstało w Autun.

Biuro Zarządu obejmuje: M. Harland, Przewodniczący, M. Gainot sekretarz, M. Bonnaud, skarbnik, oraz M-lle Guyot, nauczycielka, którą zdaje się znam, podobnie jak i M. Piella, architekta.

Paul Cazin

HUMANISTY

on tak wielkich nadziei z wojną, nie oczekiwał od niej dokonania wielkich przemian w strukturze moralnej świata. Był po prostu wnikliwym obserwatorem. Nawet w chaosie wojennym szukał Boga. „Szukam w Tobie istoty swego bytu" — napisze później. Odwiedzając szpitale pełne okaleczonych ludzi wołał: „Czemu opuściłeś mnie Boże?... Czemu jestem pośród tego tłumu, w tej otchłani upodlenia". Ale równocześnie marzy o świecie pokoju, piękna, intelektualnej radości, który jak gdyby miał wynurzyć się z tego piekła, aby móc zapanować niepodzielnie. Oczywiście, nie szukajmy w książce Cazina próby „doczesnego" rozwiązania problemu wojny. Pod tym względem „Ogień" Barbusse'a jest książką stokroć cenniejszą i odkrywczą; nie przynosi wprawdzie refleksji filozoficznych, ale jest za to wielkim protestem. Książka Cazina jest dziełem myśliciela. I ten rys książki Cazina jest reprezentatywny dla całej jego twórczości, doskonałej artystycznie, głębokiej myślowo, ale podejmującej raczej pośrednio najbardziej aktualną problematykę społeczną czy ideologiczną. W „Humaniście na wojnie" odnajdziemy jednak wiele myśli podważających „święty mit wojny", chociaż nie w nich jest ukryty główny sens utworu.

„Z tych milionów walczących z sobą ludzi ilu ogarnia naprawdę pragnienie zabicia drugiego człowieka?

Z tych rządów, które opróżniają swoje kasy na opłacenie swoich „obrońców", ile naprawdę troszczy się o to, czy ma dzielnych obywateli?

Te miliony ludzi są jak gladiatorzy w cyrku, a owe rządy jak ekonom z Ewangelii, który zapewniał sobie oparcie na złe dni".

Tak istotnie Cazin powiedział. Ale nie szukajmy kontynuacji tych myśli czy ich rozwinięcia w innych jego książkach. „Décadi" jest pogodnym portretem chłopca, historią poznawania przez niego otaczającego świata, „l'Alouette des Pâques" jest zbiorem pięknych poematów prozą, powstałych w dalekim kręgu oddziaływania Flauberta, „l'Hôtellerie du Bacchus sans tête" — poetyckim gobelinem, bardzo kunsztownym poematem prozą ze średniowiecznych dziejów miasta Autun. Cazin jest tu przede wszystkim artystą, doskonale panującym nad literacką transpozycją wzruszeń i wrażliwym na kapryśne wymagania stylu, tak jak w „Humaniście na wojnie" jest przede wszystkim myślicielem, szukającym głównych zasad naszej egzystencji. Ale notując swoje wojenne obserwacje Cazin-artysta nie może zapomnieć o przyrodzie podległej niezmiennym prawom. Pisze o niej, że jest płodna i niestrudzona. „Ledwo się zima zaczęła, a już, podobne wrzecionom wróżek, tysiące pączków przebijają rdzę pozostawioną przez słoty, i gdzie sięgnąć okiem, czarne drzewa, które wydają się odpoczywać, przygotowują już swoją wiosenną szatę". Cała przyroda wydaje się śpiewać pochwalny hymn Boga.

„Ale — pyta Cazin — myśliciel— czy chwalić cię będą również zmarli, którzy zstąpili w rejony zapomnienia? Któż nam odda odebrane dni, godziny, lata? Cóż nam dać może współczucie ludzi czy nieba?"

„Ludzkość mówi — chcę, aby kochano mnie dla mnie samej. Ale z tej całej miłości, jakiej żąda w swojej nędzy lub cierpieniu, cóż jej pozostanie, jeśli straci to, co zostało jej dane przez miłość Bożą?" Czyli — abstrakcyjna miłość ludzkości jest nic nie znaczącym frazesem. Tylko świadomość miłości Boga, w którym myśl przenika całe dzieło Cazina, odnajduję ją jeszcze dzisiaj w jego dzienniku prywatnym. Ta myśl dopełnia ostatecznie portretu tego chrześcijańskiego humanisty. Ta myśl znajduje swój piękny wyraz w modlitwie z kart „Humanisty na wojnie":

„Panie, pozwól mi poznać swój los. Wyjaw mi liczbę dni, jaką mam przed sobą, abym wiedział, ile pozostaje mi życia. Zmierzyłeś, Panie, mój czas, a moje istnienie jest nicością wobec Ciebie... Ale Ty, Panie, jesteś moim oczekiwaniem. Jesteś nadzieją tych, którzy na nic już nie oczekują, to jest Twoją wieczną chwałą i oznaką Twej wielkości, że podnosisz zagubione serca i resztki ludzkiej próżności.

Czy słyszysz moją modlitwę! Nie dozwól, abym pozostał bez odpowiedzi. Czemu milczysz? Mój rozum popycha mnie ku Tobie, a Ty go odpychasz. Szukam w Tobie istoty swego bytu. Ty wkładasz pieśni do moich ust. Rozświecasz mrok. Czemu się ukrywasz, Panie?

Dusza ludzka wzywa Twojej nieskończoności. Jest ona zbyt mała, by ją objąć. Ona załamuje się pod ciężarem boskości. *Remitte mihi ut refligerer priusquam abeam et amplius non ero.*

I Ty, Panie chrześcijan, który przenikasz tajemnice, kiedy zdruzgoczesz łuki, kiedy spopielisz tarcze? I kiedy nadejdzie czas przewidziany przez Twego psalmistę, gdy cisi posiądą ziemię i rozkoszować się będą pełnią POKOJU?"

Konrad Eberhardt

ALEKSANDER ROGALSKI

WSPOMNIENIE O ZYGMUNCIE WOJCIECHOWSKIM

TAK głęboko przeżywający przeszłość, tak silnie związany z ziemią macierzystą był jednak profesor Zygmunt Wojciechowski cały wychylony w przyszłość. Fascynowały go zagadnienia i zagadki dziejów a nawet pradziejów naszego narodu. A mimo to historia gubiła swój wymiar czasu dokonanego i zamierzchłego, wtapiała się olbrzymim nurtem w żywą Jedność, sprawiając, że wydarzenia z wieku X stawały się równie ważne jak fakty z naszej doby, a nawet odwrotnie: chwila dzisiejsza zyskiwała dopiero całą swą doniosłość w powiązaniu z faktami sprzed dziesięciu wieków. Są historycy (nie pozbawieni zresztą swoistego antykwarycznego wdzięku), dla których istnieje tylko przeszłość, a nie istnieje teraźniejszość ani przyszłość, albo jeżeli one istnieją, to raczej na podobieństwo mgły aniżeli rzeczywistości o wyraźnych konturach. On zaś był historykiem, któremu dziejące się współcześnie wydarzenia i zjawiska odsłaniały swe bogactwo i komplikacje na ogół nieuchwytne dla przeciętnego obserwatora bieżącego życia politycznego, dla człowieka zbyt pochłoniętego zmienną i migotliwą powierzchnią teraźniejszości, by mógł wejść w jej głębię i przeczuć jej właściwy sens.

Historia była dla niego dziedziną łączącą a nie odizolowującą, wyjaśniającą współczesność, nie zaś budzącą względem niej obojętność. Była do pewnego stopnia nauką o nie kończącym się Życiu, mniej zaś nauką o wielkim i czcigodnym świecie martwych ludzi, martwych rzeczy i zamarłych zjawisk. I dlatego w jego osobowości nie było tego schizofrenicznego rozszczepienia, jakie się niejednokrotnie dostrzega u wielu ludzi naszej epoki, którzy działając jednocześnie w szeregu dziedzin poza swą specjalnością przestają być sobą, stają się obcy sobie samemu, połowiczni, nieprawdziwi. Zygmunt Wojciechowski był równie pełny i autentyczny, gdy zanurzał się w dociekania mediewistyczne, jak wtedy gdy roztrząsał problem współżycia ludzi o różnej postawie światopoglądowej w Polsce budującej socjalizm. W dużej mierze dzięki tym właściwościom jego publicystyka posiadała autorytet osobistego przekonania. Stąd też nawet prawdy, które zdołały nam już spowszednieć czy wręcz spaść do rzędu sloganów — pod jego celnym piórem raz po raz pobłyskiwały szczerym złotem odkrywczej i płodnej myśli.

Słowo jego było zwięzłe, czasem po tacytowsku zwięzłe. Nieraz w jednym zdaniu mieściło się tyle treści, że zdołałaby wykarmić się nią niejedna pokaźna książka z rodzaju tych, po które — mimo ich taniości — nie wyciągają się chciwe ręce naszego ludowego czytelnika. Albowiem będąc jako zawodowy historyk świadomy tego, że właściwie żaden czyn ludzki nie ginie bez reszty, że każdy czyn ludzki pociąga za sobą cały łańcuch skutków ciągnących się w nieskończoność — z wielkim poczuciem odpowiedzialności i szacunkiem odnosił się również do słowa.

Wiązał się z tym jeden rys jego postawy politycznej i obywatelskiej: realizm. Ale jest realizm i realizm. Jest realizm, dla którego świat zaczyna się dopiero z dniem dzisiejszym i dla którego jutro stanowi jedynie przedłużenie dnia dzisiejszego. Chwyta on, nieraz doskonale, całą grę sił rzeczywistości bieżącej i potrafi budzić podziw zdolnościami akrobatycznymi. Ale ślepy na to, co drzemie pod powierzchnią chwili i zjawisk, i na cienie, jakie rzucają rzeczy dnia dzisiejszego na przyszłość — co chwila doznaje uderzenia w głowę, co mu do reszty w końcu odbiera rozum i równowagę. Klasycznym przykładem takiego realizmu był Bismarck, który po wspaniałych sukcesach poniósł — wśród bezdennego własnego zdumienia — druzgocącą klęskę osobistą i polityczną.

Nie, prof. Wojciechowski był realistą zgoła innego typu: nie był człowiekiem chwili bieżącej. Ale nie był też wizjonerem ani prorokiem: widział on zjawiska w ich prącym ku przyszłości potoku i nie dając się zahipnotyzować przeszłością rozwijał i wyostrzał w sobie dzięki głębokiemu współżyciu z nią zmysł ujmowania przyszłej ewolucji wydarzeń przynajmniej w ich profilu i w szeregu możliwości — niemniej jednak konkretnie i realistycznie.

Te zalety jego umysłu i jego postawy ujawniały się całkowicie również w jego stosunku do współczesnych zagadnień katolicyzmu w Polsce.

PROFESOR Zygmunt Wojciechowski czując się żywą cząstką społeczności katolickiej, ukształtowany w klimacie moralnym katolicyzmu przywiązywał ogromną wagę do sytuacji i roli Kościoła w państwie socjalistycznym, w obozie rewolucji społecznej. Podobnie jak w innych dziedzinach, w których dawał wyraz swemu twórczemu umysłowi, tak i w tej poglądy jego odznaczały się dojrzałością, złożonością i szerokością perspektyw. Nic mu nie było tak dalekie i obce jak skłonność do uproszczeń, szczególnie niebezpieczna dla publicystów politycznych. Ale jednocześnie nie ulegał pokusie, która czyhała ze strony wprost przeciwnej: pokusie relatywizmu, agnostycyzmu czy probabilizmu. Przeciwnie, jego dociekania zawsze przynosiły w wyniku stwierdzenia jasne i jednoznaczne, stwierdzenia, które posiadały znaczenie praktyczne, życiowe.

Gdy w roku 1950, już po zawarciu Porozumienia Episkopatu Polski z Rządem Polski Ludowej, wypłynęła sprawa powołania do życia perjodyku, który by wyrażał potrzeby aktualne katolicyzmu polskiego i oddziaływał na środowiska intelektualne, w takim czy innym stopniu poczuwające się do łączności z Kościołem, nie mogło być zaskoczeniem, że zorganizowanie takiego czasopisma i redaktorstwo naczelne powierzone zostało prof. Wojciechowskiemu. Było bowiem jasne, że znakomita znajomość problematyki okresu Mieszka I i Bolesława Chrobrego nie tylko nie mogła być uważana za przeszkodę w rozumieniu i angażowaniu się w problematykę doby dzisiejszej, zwłaszcza kościelno-polityczną, ale — przeciwnie — stanowiła czynnik pod tym względem bardzo pozytywny, korzystny i zapładniający. Oczywiście, przytoczony przykład nie wyczerpywał jeszcze całego przygotowania i kompetencji prof. Wojciechowskiego w zakresie tych nowych i bądź co bądź odbiegających od jego poprzednich zadań społecznych i publicystycznych, lecz tylko ilustruje to przygotowanie. Oddawał on w służbę na tym odcinku kwintesencję całej swej wiedzy i swych przemyśleń z dziedziny rozwoju historycznego narodów europejskich i poszczególnych cywilizacji,

Zarówno liczne, choć zwykle bardzo zwięzłe artykuły, umieszczane na łamach dwumies. „Życie i Myśl", jak i wynurzenia osobiste pozwalały wyrobić sobie dość jasny obraz postawy Zmarłego wobec katolicyzmu oraz myśli i dążeń, które go w tym względzie ożywiały. Obraz ten urzekał pełnią, bogactwem i perspektywami. Cały skierowany ku dniowi dzisiejszemu, o którym sam powiedział, że zrealizował on jego „poglądy na miejsce Polski w świecie", gdyż społeczeństwo polskie „w warunkach Polski Ludowej uzyskało elementy najpełniejszego rozwoju narodowego", i cały skierowany ku jutru — ustrzegał się przecież Profesor wszelkiej łatwizny myślowej, choćby wypływała ona z pobożnych lub patriotycznych intencyj.

Gdy więc mówił o obecnej sytuacji Kościoła katolickiego w Polsce i o zadaniach, jakie stają przed nami w dziedzinie wzajemnych stosunków pomiędzy katolicyzmem a socjalizmem, między troską o zbawienie nadprzyrodzone jednostek a dobro doczesne społeczeństw, zwłaszcza narodu polskiego, wówczas kojarzyły się w nim fakty, zjawiska i zagadnienia, czy nawet całe kompleksy zagadnień z tak różnych dziedzin, epok, sytuacji w sposób tak oczywisty, tak naturalny, że olśniewał słuchacza lub czytelnika.

W takim parustronicowym artykule lub w półgodzinnej rozmowie aktualne tendencje polityki amerykańskiej wiązał ze stosunkiem protestantyzmu w Stanach Zjednoczonych do katolicyzmu, a tę znów sprawę z przyszłością Kościoła katolickiego w Ameryce. Roztrząsania nad Kościołem jako instytucją uniwersalną z kolei wiodły na obszary Dalekiego Wschodu, mimo misyj katolickich w zasadzie nie pozyskane przez Kościół, by następnie wprowadzić do świata wschodnio-słowiańskiego, który „wyodrębnił się doktrynalnie i organizacyjnie już z górą tysiąc lat temu". W związku z tym wyłoniło się zaraz zjawisko laicyzacji kultury europejskiej zapoczątkowane w epoce humanizmu i reformacji, w którego wyniku m.in. nastąpiło w połowie w. XIX ogromne osłabienie pozycji papiestwa nawet w samych Włoszech — i zazębiło się bez trudu z bismarckowskim „kulturkampfem", po którego zakończeniu wobec niemal kompletnego zlaicyzowania Francji, Watykan coraz większy nacisk kłaść zaczął na możliwości porozumienia z Niemcami i to zarówno bezpośrednio wprost z Rzymu, jak też i za pośrednictwem Centrum. Teraz następowało zdanie, które zamykało dotychczasowy tok rozumowań a zarazem otwierało nowy rozdział wywodów: „Polską była tradycyjnie wierna, ale względy bieżącej polityki watykańskiej oraz niewzruszone zaufanie do trwałości katolicyzmu w Polsce sprawiły, że nie dość liczono się z rolą Polski w uniwersalizmie katolickim".

„...Formuła nagrody mówi nie tylko o dorobku naukowym Zmarłego — mówi także o jego działalności w zakresie obrony polskich praw do zachodnich naszych rubieży. Chętnie dodam do tego jeszcze działalność człowieka pomagającego innym ludziom. Z Zygmuntem Wojciechowskim odszedł wielki działacz chrześcijańskiego miłosierdzia". (Z przemówienia Jana Dobraczyńskiego na uroczystości rozdania nagród im. Wł. Pietrzaka)

Okazało się, że rewizjonizm niemiecki, akcja podważania systemu poczdamskiego podjęta w licznych kołach politycznych i wyznaniowych na Zachodzie, posiadają znacznie szersze, podłoże głębsze i bogatsze niżby się to wydawać mogło publicyście, utożsamiającemu rozwiązanie problemu lub zwalczenie określonego niebezpieczeństwa z wystrzeleniem w kierunku przeciwnika odpowiedniej serii gromkich i groźnych obelg. Profesor Z. Wojciechowski wywodził: „Polityka tradycyjna szła w kierunku popierania katolickich Niemiec, co z natury rzeczy musiało stać się dla polityków niemieckich atutem w dążeniach rewizjonistycznych. Polityka ta przesłaniała też tę oczywistą okoliczność, że na skutek powrotu Ziem Zachodnich do Polski tereny na wschód od Odry stały się katolickie, podczas gdy do tego czasu były w przeważającej mierze protestanckimi. Względy polityki bieżącej nie pozwalały dojrzeć, że przecież katolicka Polska jest jednym z filarów uniwersalizmu katolickiego, którego nie może zastąpić ani w większości akatolicka Francja, ani tym mniej protestancka Ameryka".

Trudno zaprzeczyć, jak bardzo mobilizujące było tego rodzaju ujmowanie zagadnienia rewizjonizmu zachodnio-niemieckiego.

Lecz teraz Profesor przechodził do społecznego aspektu problemu katolicyzmu: Polska znalazła się obecnie w obliczu dwu uniwersalizmów: uniwersalizmu Kościoła katolickiego i uniwersalizmu rewolucji marksistowskiej. Pociąga to za sobą następstwa w skali wprost epokowej. Skłania najpierw Kościół do zajęcia stanowiska wobec nieoczekiwanej dlań nowej rzeczywistości historycznej. Przyzwyczajony w poprzednich wiekach do sytuacji społeczno-politycznej, której znamieniem był sojusz ołtarza i tronu, okazał się mimo wysiłków nieprzygotowanym do tego, co się u nas stało faktem dokonanym: do ustroju socjalistycznego.

W tym miejscu Profesor dawał krótki przegląd historii Kościoła od strony społecznej, by dojść do następujących wniosków. To, co dawniej starał się czynić Kościół obejmujący swym zasięgiem całe społeczeństwo a nie tylko jego szczyty, łącząc poprzez zasadę uniwersalizmu różne organizmy społeczne, narodowe i kulturalne w jedną całość wyższego rzędu — dzisiaj czyni „uniwersalizm rewolucyjny" przekraczając w szerokiej mierze osiągnięcia, jakie w tej dziedzinie uzyskiwał w minionych wiekach Kościół. Trzeba było teraz omówić następstwa tego zderzenia się dwu odmiennych uniwersalizmów w Polsce. Ale wpierw jednak narzucała się konieczność podjęcia jeszcze jednego ważnego zagadnienia, które dawało na Zachodzie asumpt do szczególnie niebezpiecznych nadużyć. Mianowicie zagadnienia: Wschód — Zachód w optyce katolickiej. „Zwykło się dzisiaj mówić jednym tchem o cywilizacji rzymskiej, łacińskiej, zachodniej. Z takiego jednak postawienia sprawy — wywodził prof. Z. Wojciechowski — przebija wyraźna jednostronność. Cywilizacja rzymska bowiem nie jest podbudową jedynie cywilizacji rzymskiej i zachodniej, ale w oparciu o nią wyrosła i inna jeszcze wielka cywilizacja, bizantyńska. Rzym bowiem budował na dwu podstawach: greckiej i łacińskiej. Wkład grecki w cywilizację rzymską był ogromny, dalszym zaś ogniwem tego procesu stała się cywilizacja bizantyńska, a w jej orbicie w przeważającej części rozwijał się świat słowiański". Czy jest więc słuszne przecinanie na dwoje świata chrześcijańskiego? Na „kulturalny" i prawowierny Zachód i na „barbarzyński" i heretycki Wschód? Nie, nie jest słuszne, bo korzenie Zachodu i Wschodu są wspólne. I jeżeli ktoś dzisiaj mówi o „granicy Europy", to spoza takiego sformułowania wychodzi myśl polityczna. To jest zachęta do wojny pod sztandarami mistyki „misji łacińskiej", której stara cywilizacja grecka nie pożąda. Przecież my, Polacy, byliśmy do niedawna obiektami „kulturtraegerstwa". Z własnych wspomnień wiemy, jaką reakcję budziło prowadzenie zwykłego podboju pod takimi hasłami i sztandarami. A teraz slogany w rodzaju „przedmurza chrześcijaństwa" aktualizuje się, by przygotować nową „krucjatę".

I otóż obrona pokoju, przeciwstawienie się nowemu, ale tym razem już iście apokaliptycznemu kataklizmowi wojennemu — wysuwając się na czoło dzisiejszych potrzeb całej ludzkości każe nie tylko odrzucać wspomniane dzielenie świata na części lepsze i gorsze, ale stanowi nawet główne spoidło społeczności katolickiej w Polsce z obozem wielkiej rewolucji, tym bardziej, że Porozumienie z kwietnia 1950 r. stwierdza, iż w ramach socjalizmu jest miejsce dla ludzi wierzących i nie tylko miejsce ale i widoki rozwojowe.

Na tym jednak Profesor nie poprzestawał i dowodził, że Kościół, który położył olbrzymie zasługi na polu łagodzenia obyczajów w społeczeństwach w ciągu wieków, obecnie, po dokonaniu rewolucji w Polsce stanąwszy na gruncie przeprowadzanych reform społecznych, okaże się też w swej funkcji moralno-społecznej bardzo potrzebny „jako czynnik z zasady i tradycji powołany do łagodzenia obyczajów" przyczyniając się tym samym do wszechstronnej normalizacji życia społecznego. Co więcej, zważywszy napięcie spowodowane ścieraniem się w świecie porządku starego i nowego, normalizacja życia wewnętrznego w Polsce walnie się przyczynić może do „pacyfikacji stosunków również w skali światowej".

Troska o Kościół jako instytucję działającą wśród społeczeństw i dla społeczeństw wiązała się u prof. Z. Wojciechowskiego, z wiarą w niezniszczalność Kościoła jako instytucji nadprzyrodzonej, a nawet w ogóle w niezniszczalność religii jako zjawiska duchowego, gdyż ogarniając jednym spojrzeniem dzieje powszechne świata zauważył, iż „potrzeba religii jak nić nieprzerwanie przewija się poprzez długie tysiąclecia dziejów ludzkości". Rzecz jasna, że najbliższe mu było to, co się łączyło bezpośrednio z narodem polskim i z jego konkretną sytuacją historyczną. Dlatego za swoje główne zadanie jako redaktora czasopisma katolickiego, jako działacza i publicysty uważał „walkę z próbą włączenia Kościoła do rewizjonizmu imperialistycznych kół niemieckich". Ale przy tym zastrzegał się: nie chodzi o walkę z narodem niemieckim ani z katolicyzmem niemieckim, ale „z tendencją do nadużycia religii dla celów, które z założeniami katolicyzmu nic wspólnego nie mają".

Czynił jeszcze drugie zastrzeżenie: „Co innego sprawy wiary, co innego wszelkie próby traktowania Polski jako bazy operacyjnej w stosunku do planowanych działań na Wschodzie". Z tego względu pilnym dlań postulatem była normalizacja administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich, której to sprawie poświęcił wiele jak najbardziej udokumentowanych i w nieodpartą siłę przekonania wyposażonych artykułów.

W ciągu trzechletniej swej działalności na stanowisku redaktora naczelnego „Życia i Myśli", a także jako współpracownik bardziej popularnych organów prasy katolickiej w rodzaju „Słowa Powszechnego", „Dziś i Jutra" czy „Tygodnika Powszechnego" prof. Z. Wojciechowski ogromnie zasłużył się sprawie katolicyzmu w Polsce. Ale to nie jest wcale wyłącznie pozycja historyczna, to nie jest karta już zamknięta. Podobnie jak w pozostałych dziedzinach działalności tak i w tej umysł jego zasiał wiele ziaren, które — jeśli i warunki klimatyczne będą korzystne, i uprawiający glebę społeczną katolicyzmu w Polsce wykażą należytą w tej mierze troskliwość (a nie wątpię, że tak będzie), wówczas ziarna te wydadzą jeszcze żyzny plon.

WKOŃCU chciałbym powiedzieć coś o tym, co jest właściwie początkiem i fundamentem wszystkiego. Chciałbym kilka słów powiedzieć o prof. Z. Wojciechowskim jako **człowieku.**

Jeśli wielkość ludzka polega przede wszystkim na rozbiciu wszelkiej sztampy, wszelkiej konwencji, wszelkiego stereotypu, w jakie wtłaczać zwykliśmy naszych bliźnich ze względów czysto pragmatycznych lub też z trwożliwej troski o nasze małe wewnętrzne bezpieczeństwo, a dalej na maksymalnej kondensacji człowieczeństwa i na wielkiej amplitudzie tego człowieczeństwa — to prof. Z. Wojciechowski, gdy go teraz widzę w najrozmaitszych sytuacjach, okazjach i momentach jego życia, w chwilach tragicznych jak i zgoła krotochwilnych, przy wytężonej pracy jak i w beztroskim wypoczynku, gdy go widzę na wozie i pod wozem, czyni na mnie nieodparte wrażenie człowieka naprawdę niepospolitego formatu.

Uderzał jego humor, dowcip, sarmackość, polskość temperamentu, „stylu" jego życia. Nie rozstawał się z „Księgą Henrykowską", z kronikami Thietmara, Widukinda i Helmolda, z książkami Rankego czy Mommsena, ale także nie rozstawał się z „Dzielnym wojakiem Szwejkiem" Haszka. I bywało, że swoje kameralne prelekcje na temat wielkopolskich grodów wczesnohistorycznych, lub swoje analizy polityki Adenauera inkrustował powiedzonkami i kawałami Szwejka, podobny w tym do mnicha średniowiecznego, który w pocie czoła przepisując pobożne księgi, marginesy ich ozdabiał od czasu do czasu wersetami własnej inwencji o treści nader świeckiej. Jego bujna natura miała w sobie coś z tej rozpiętości i fantazji, jaką wykazywał np. Jan Kochanowski, autor „Trenów" i zarazem autor fraszek „Dobrym towarzyszom g'woli". Ale język jego bardziej jeszcze nasuwał na myśl Reja: był równie plastyczny i soczysty.

Pewnego razu z okazji jakiegoś specjalnego numeru „Przeglądu Zachodniego" sprosił swoich współpracowników, m.in aż z Wrocławia, „na kaczkę". Na konferencji tej wystąpił w roli mistrza ceremonii i odziany w kucharski fartuch, uzbrojony w kuchenny nóż demonstrował zebranym umiejętność, z której był szczególnie dumny, co do której mniemał, że nikt mu w niej nie dorównywa: fachowe, anatomiczne pokrajanie pieczonej kaczki na kawałki, owoc wiedzy, wyniesionej z pierwszego (i ostatniego) roku studiów medycznych.

Skrytym marzeniem, marzeniem serca, którego nigdy nie dane mu było, nawet w cząstkowej postaci, spełnić, było zostać kapelmistrzem, bądź też dyrygentem orkiestry wojskowej, choć na żadnym instrumencie, nawet na domowy użytek, grywać nie umiał. Mało rzeczy go tak urzekało, jak kapela wojskowa, i nieraz spotkawszy pluton takiej kapeli potrafił zboczyć z drogi, by wśród gromady szkrabów przemaszerować za nią i w jej takt sporo ulic.

Było to, w całym tego słowa znaczeniu, **anima naturaliter christiana.** Niewiele filozofując, w swoim zasięgu pomnażał wartości i dobra, gdzie tylko mógł i gdzie tylko się znalazł. Wszędzie widział okazję do dobrego uczynku: na katedrze uniwersyteckiej, w swoim gabinecie pracy, w Instytucie Zachodnim, w Polskiej Akademii Nauk, w Wojewódzkiej Radzie Narodowej jako członek jej komisji oświatowej, na ulicy i w czasie wypoczynku w umiłowanej Osiecznej, zarówno wśród znajomych, jak i wśród całkiem obcych. Tak walcząc z brakiem czasu, niezbędnego dla licznych prac naukowych, i z brakiem zdrowia, potrafił wzgardzić nakazem koncentracji i ekonomii sił, obowiązującym każdego twórcę, i przerwać w pośrodku artykuł lub rozprawę, by długie godziny oraz masę energii poświęcić dla dobra kogoś, o kim się właśnie dowiedział, że dotknęło go nieszczęście — zachowując przy tym subtelność i takt.

Czymże więc zakończyć tę garść wspomnień rzuconych nad jego świeżą mogiłą jak nie słowami, zamykającymi pośmiertną książkę słynnego historyka holenderskiego, J. **Huizingi** pt. „Wenn die Waffen schweigen" — „Gdy zamilknie broń":

„Wszędzie znajdują się miliony ludzi, w których żywa jest potrzeba prawa, poczucie ładu, uczciwości i wolności, rozsądku, wierności i wiary. Ludzie ci nie dadzą się ująć w pojęcie demokratów, socjalistów lub w jakikolwiek inny schemat. Określmy ich lepiej słowem, posiadającym daleko szlachetniejszy dźwięk niż jakakolwiek kategoria polityczna, i nazwijmy ich **ludźmi dobrej woli,** „homines bonae voluntatis", jak mówi Vulgata. To są właśnie ludzie, dla których w noc Bożego Narodzenia śpiewa się IN TERRA PAX".

Do ludzi tych należał prof. Zygmunt Wojciechowski.

Aleksander Rogalski

JULIUSZ DOMAŃSKI

Śladem myśli Ojców Kościoła

„Porównując to co posiadała nasza literatura w dziedzinie patrystyki, a co posiada obecnie, dzięki pracom ks. Czuja — będziemy widzieli ile Mu zawdzięczamy i jak małym tylko równoważnikiem tego dzieła jest wręczana przeze mnie nagroda". (Z przemówienia Jana Dobraczyńskiego)

POSTAĆ laureata tegorocznej nagrody naukowej im. Włodzimierza Pietrzaka przywodzi na myśl sprawę natury ogólniejszej: sprawę znaczenia pism Ojców Kościoła dla współczesnej myśli katolickiej. Motywacja nagrody bowiem brzmi: „za prace na polu patrystyki" i nagrodę tę otrzymał człowiek, który w ciągu trzydziestu kilku lat pracy naukowej dokonał, jeśli idzie o przekłady pism Ojców Kościoła, więcej niż wszyscy jego polscy poprzednicy. Nagroda ta oznacza zatem nie tylko wyróżnienie uczonego za jego pracę; jest ona symbolem żywotności tradycji patrystycznej odradzającej się w naszych czasach.

Jaki jest sens studiów patrologicznych w chwili obecnej? Co łączy ludzi XX wieku z tak odległą przeszłością? Rzecz jasna, że pytanie to nie dotyczy wkładu Ojców Kościoła w doktrynę katolicką. W tym sensie ich dorobek jest zawsze „żywym spadkiem", który stracił swe piętno historyczności, czasowości, jako żywa tradycja przekazywana z pokolenia w pokolenie i jednakowo bliska katolikom wszystkich czasów. Bywają jednak w historii myśli chrześcijańskiej okresy szczególnego zainteresowania dla pism Ojców Kościoła: odrodzenie XV i XVI wieku, a w wieku XIX dzieło kardynała Newmana są tego jawnym dowodem. Jest nim również wiek XX, którego zwrot do tradycji patrystycznej wynika głównie — jak się zdaje — z podobieństwa sytuacji historycznej w życiu współczesnego Kościoła do czasów św. Justyna czy Klemensa Aleksandryjskiego.

Ale nie odbiegajmy zbytnio od tematu; jest nim przecież nie co innego jak sylwetka laureta tegorocznej nagrody naukowej im. Włodzimierza Pietrzaka.

W swoim przemówieniu z okazji wręczenia nagrody ks. Czuj powiedział, że ideałem przyświecającym mu w jego pracy naukowej byli św. Hieronim i Rufin, dwaj ogromnie płodni pisarze chrześcijańscy, którzy dla łacińskiego Zachodu zasłużyli się między innymi tłumaczeniem dzieł Ojców greckich. Istotnie, specyfika pracy naukowej laureata, choć obejmuje dziedziny znacznie rozleglejsze, jest przede wszystkim pracą tłumacza pism Ojców Kościoła.

Przekłady rozpoczął ks. Czuj już jako człowiek naukowo dojrzały. Przygotowały je gruntowne studia patrologiczne, podjęte we wczesnej młodości. Wprawdzie dwie pierwsze jego publikacje *(Buddyzm,* Poznań 1917 i *Kazania patriotyczne,* Tarnów 1917) nie dotyczyły patrystyki, ale już w rok po nich ukazała się praca ściśle patrologiczna — *Kościół i państwo u św. Augustyna* — za którą ks. Czuj uzyskał stopień doktora (promotorem był wybitny znawca literatury starochrześcijańskiej i mediewista ks. Jan Fijałek, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego), a w kilka lat później rzecz o św. Pacjanie (Św. Pacjan, Tarnów 1922). Dalsze studia patrologiczne w Rzymie uwieńczyła praca pt. *Hierarchia u św. Augustyna* (Lublin 1923), za którą ks. Czuj zdobył tytuł *magister aggregatus,* odpowiadający w ówczesnym systemie stopni naukowych habilitacji. Tytuł ten, nostyfikowany po powrocie ks. Czuja do kraju, był podstawą mianowania go profesorem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie wykładał do r. 1929. W tym samym roku ks. Czuj przeniósł się do Warszawy i tu objął katedrę patrologii i homiletyki na Wydziale Teologii Katolickiej, na którym wykładał aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Po wojnie, mianowany dziekanem Wydziału Teologii Uniwersytetu Warszawskiego, kontynuował tu pracę pedagogiczną, a w r. 1954, po przekształceniu dotychczasowego Wydziału Teologii w samoistną Akademię Teologii Katolickiej, został jej rektorem.

Najpłodniejszy, jeśli idzie o pracę przekładową, był okres profesury warszawskiej. Poczynając od roku 1929 pojawiają się, głównie w poznańskim wydawnictwie, Pisma Ojców Kościoła pod redakcją profesora Uniwersytetu Poznańskiego Jana Sajdaka: *Wyznania* św. Augustyna (Poznań 1929, drugie wydanie: Kraków 1950, trzecie wydanie (nowe): Warszawa 1953, w druku czwarte wydanie), Wiktora z Wity *Prześladowanie chrześcijan w Afryce* (Poznań 1929), św. Ambrożego *Mowy* (Poznań 1931), Laktancjusza *Pisma wybrane* (Poznań 1933), Leona Wielkiego *Kazania wybrane* (Poznań 1936), *Apologeci greccy II wieku* (Poznań 1936), Św. Cypriana *Pisma* t. I (Poznań 1936). Po wojnie już wyszły: Św. Grzegorz Wielki, *Księga reguły pasterskiej* (Poznań 1948), Św. Hieronim, *Listy* (Warszawa, t. I — 1952, t. II — 1953, t. III — 1954), Klemens Aleksandryjski, *Czy człowiek bogaty może być zbawiony* (Warszawa 1953), Św. Grzegorz Wielki, *Listy* (Warszawa, t. I. — 1954, t. II — IV — 1955). Trzeba dodać, że w ogólnym bilansie poznańskiego wydawnictwa Pism Ojców Kościoła wydane tam przekłady ks. Czuja stanowią przeszło jedną trzecią wszystkich przekładów, jakie się przez dwadzieścia lat istnienia tego wydawnictwa ukazały. Wreszcie pamiętać należy, że znaczna część przekładowego dorobku ks. Czuja nie ogłoszona drukiem uległa zniszczeniu w czasie wojny, a kilka ocalałych lub dokonanych już po wojnie prac czeka na wydanie.

Przekłady pism Ojców Kościoła to jedna, niewątpliwie najbardziej reprezentatywna, ale nie jedyna dziedzina pracy ks. Czuja. Drugą, prawie równorzędną co do ilości i znaczenia, stanowią monograficzne opracowania sylwetek poszczególnych Ojców Kościoła czy zagadnień patrologicznych. Często jedna dziedzina pracy jest uzupełnieniem i ilustracją drugiej. I tak przekład *Wyznań* poprzedziły: *Żywot św. Augustyna* (Kraków 1928, drugie wydanie: Warszawa 1952, skrócone wydanie: Kraków 1930), *Św. Augustyn o narodzie wybranym* (Kraków 1928), a po *Wyznaniach* ukazały się: *Św. Augustyn w opinii potomnych* (Poznań 1930) oraz *Spór św. Augustyna ze św. Hieronimem* (Poznań 1935). *Mowy* św. Ambrożego poprzedziła znów monografia *Św. Ambroży w świetle swoich listów* (Warszawa 1938); równocześnie z *Pismami* św. Cypriana wyszła monografia *św. Cyprian na tle epoki* (Włocławek 1936); wraz z *Księgą reguły pasterskiej,* a przed *Listami* Grzegorza Wielkiego ukazała się książka *Papież Grzegorz Wielki* (Warszawa 1948), po *Listach* św. Hieronima zaś wyszła monografia o św. Hieronimie (Warszawa 1954). Wreszcie wspomnieć trzeba o *Patrologii* (Poznań 1953, drugie wydanie tamże 1954), książce mającej charakter podręcznikowy, a będącej jedynym dostępnym dziś w języku polskim podręcznikiem.

Prace z dziedziny patrologii — a wymieniono tu tylko najważniejsze, pomijając zarówno mniej ważne książki, jak i liczne artykuły ogłaszane w różnego rodzaju czasopismach: od fachowych aż do prasy codziennej (w latach powojennych np. w *Słowie Powszechnym)* — to główny produkt warsztatu naukowego ks. Czuja. Drugi, mniej obfity, ale niemniej ważny, to prace z zakresu homiletyki. Należą tu — oprócz wymienionych *Kazań patriotycznych* z r. 1917 — takie prace, jak *Poglądy św. Augustyna na wymowę kościelną* (Warszawa 1936) — a więc rozprawa z pogranicza homiletyki i patrologii — *Nauki rekolekcyjne* (Warszawa 1947), *Triduum rekolekcyjne* (Warszawa 1947), *Kazania świąteczne i przygodne* (Poznań 1953), *Kazania* (Warszawa 1955) i przede wszystkim *Wymowa kościelna,* ostatnia z wydanych dotąd książek ks. Czuja (Warszawa 1955).

Jeśliby się chciało określić rolę ks. Czuja jako naukowca, a więc jego rolę w polskiej kulturze katolickiej, to należałoby ją widzieć przede wszystkim w udostępnianiu bogatego dorobku myśli patrystycznej współczesnemu czytelnikowi katolickiemu. Obok walorów badawczych i interpretacyjnych — na ocenę których nie tu jest miejsce — praca ks. Czuja, a przede wszystkim praca przekładowa, uczyniła wiele postaci i idei z odległej epoki starożytnego chrześcijaństwa czymś bliskim, czym żyje się na codzień. A wartości, jakie można znaleźć w pismach Ojców Kościoła, nie są — jak wspomnieliśmy na początku — tylko jakąś przebrzmiałą tradycją. Dla katolicyzmu współczesnego, który żyje i rozwija się w niechrześcijańskim kontekście historycznym, znaczenie Ojców Kościoła polega przede wszystkim na tym, że byli uniwersalistami i humanistami w najbardziej szerokim i najbardziej chrześcijańskim tego słowa znaczeniu. Napotkawszy w swej misji religijnej skarby wielowiekowej kultury pogańskiej nie odrzucili ich, dlatego że były pogańskie, lecz uznali za swoje i przekazali następnym pokoleniom jako skarb, którego wartość w ich ocenie była bezsporna.

Praca przyswajającą dorobek starożytnej myśli chrześcijańskiej — a taką pracą laureat zasłużył się szczególnie — jest dlatego właśnie cenna.

Juliusz Domański

Przed Jeremiaszem był Mojżesz...

NIE bez przyczyny sięgnąłem po przeczytaniu „Pustyni"*) Jana Dobraczyńskiego do jego „Wybrańców gwiazd". Mimo że między datami wydania obu tych powieści biblijnych leży różnica siedmiu lat, są one sobie bardzo bliskie. Bądź co bądź, i jedna i druga jest literacką ilustracją tego samego etapu w dziejach narodu izraelskiego i — człowieka: okresu przed przyjściem na świat Chrystusa. Podobni również są do siebie główni bohaterowie „Pustyni" i „Wybrańców gwiazd" — Mojżesz i Jeremiasz. Podobni nie tylko w pisarskim ujęciu Dobraczyńskiego — ale i w historii.

Tak życie Mojżesza, jak życie Jeremiasza są dziejami mężów, którzy prowadzili naród żydowski do Boga przeciw niemu samemu, przeciw jego ludzkim, bardzo ludzkim skłonnościom, umiłowaniom, dążeniom. Szczególnie „Pustynia" — jak się zdaje — ma w intencji Dobraczyńskiego ukazywać starcie się historii Żydów, jej doczesnego sensu z nadludzką, nadprzyrodzoną interpretacją. Nie ma w tym nic dziwnego. Wielka tajemnica wiary, jaka dokonała się z przyjściem Chrystusa na świat, musiała znaleźć grunt ludzkich dusz i umysłów choć trochę przeorany, przygotowany. Wielki konflikt Mojżesza z własnym narodem, walka człowieka, którego wybrał Bóg do przekazywania innym swej woli, o wypełnienie — nawet za cenę szczęścia osobistego — własnego posłannictwa — oto dramat Mojżesza, który po wielu latach miał się powtórzyć między innymi w losie Jeremiasza, aby znaleźć swoje nadprzyrodzone uwieńczenie — usankcjonowanie niejako — w drodze krzyżowej Chrystusa.

Trzeba powiedzieć, że literacka wizja owego dramatu jest w ostatniej powieści Dobraczyńskiego wiele szerzej i racjonalniej umotywowana aniżeli w „Wybrańcach gwiazd". W powieści o Jeremiaszu, w jej wielu partiach, widać było hegemonię realiów nad akcją, tła nad postaciami ludzkimi, anegdoty historycznej nad jej analizą i interpretacją ideową. W „Pustyni" niebezpieczeństwa te zostały znacznie zmniejszone — chociaż zupełnie nie znikły. To okiełznanie powabów, drzemiących zazwyczaj w faktach historycznych, szczególnie zaś kulturalnych i obyczajowych, tłumaczyć można i należy niewątpliwie większym, pomnożonym o osiem lat płodnej w książki pracy pisarskiej, doświadczeniem i praktyką twórczą Dobraczyńskiego. W „Wybrańcach gwiazd" wątek losów Jeremiasza wydobywał się nieraz z trudnością spod innych historii ludzkich (groźnym rywalem proroka był tu chociażby Nabuchodonozor), jego życie przerywały nie najmniejsze partie historyczne, mające czytelnika jakoś bliżej zaznajomić, niby „obłaskawić" z pstrym tłem dziejów ludów Wschodu. Od początku do końca „Pustyni" nie tracimy Mojżesza z oczu, jego życie osobiste, jego człowieczeństwo stara się Dobraczyński zawsze wybijać na jeden z pierwszych planów utworu. Wiele stron książki jest poświęconych problemowi przygotowywania przez Mojżesza gruntu pod Nowy Zakon, jego niejasnym, przeczuwanym nieraz wyobrażeniom, dotyczącym istotnego rdzenia prawdy Bożej. Tutaj właśnie dramat wewnętrzny wodza narodu żydowskiego krzyżuje się z jego dramatem zewnętrznym — ilustracją tezy: „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju".

Naród żydowski jest reprezentowany w nowej powieści Dobraczyńskiego bogatą galerią typów literackich, psychologicznych i socjologicznych — może nawet za bogato. Tutaj Dobraczyński nie uniknął błędu „Wybrańców gwiazd": nie można bowiem bezkarnie wprowadzać do niewielkiej objętościowo powieści postaci w ilości i na miarę wielkiego eposu. Bądź co bądź akcja utworu obejmuje losy dwóch pokoleń, połączone wieloletnim życiem Mojżesza. Toteż — podobnie jak w „Wybrańcach gwiazd" — i w „Pustyni" dokucza pisarzowi brak miejsca na opowiadanie o perypetiach wszystkich stworzonych przez siebie bohaterów, do przekonującego wyodrębnienia ich z tła społecznego i narodowego książki. Surowa asceza Dobraczyńskiego we wprowadzaniu realiów — w tym wypadku zawiodła.

Natomiast ciekawie i słusznie — choć również nie zawsze przekonująco artystycznie — mówi pisarz w „Pustyni" o społecznym podziale narodu żydowskiego, wskazuje na jego ekonomiczne i klasowe podstawy. Na kartach powieści Dobraczyńskiego można obserwować grę sprzecznych interesów politycznych i gospodarczych, jakie stawiały przeciw sobie ówczesne żydowskie — i nieżydowskie — klasy społeczne, a nawet grupy w obrębie tych klas. Te elementy wizji artystycznej pisarza — chaotyczne i nieskoordynowane w „Wybrańcach gwiazd" — scaliły się w „Pustyni" w obraz grup ludzkich (a nie tylko jednostek), na jakich mógł się oprzeć, lub którym musiał się przeciwstawić Mojżesz.

Wreszcie — last not least — „sprawa kobieca" w obu powieściach biblijnych Dobraczyńskiego. (Pod „powieścią biblijną" rozumiem utwór oparty na motywach i postaciach Starego Testamentu). Jest u Dobraczyńskiego jakaś bardzo ciekawa i słuszna w swym wydźwięku ideowo-artystycznym chęć rehabilitacji kobiety, tak upośledzonej w Starym Zakonie. Wydaje się, że Dobraczyński pragnie w postaciach kobiecych „Wybrańców gwiazd" i „Pustyni" pokazać „przygotowywanie gruntu" pod życie i pracę, pod posłannictwo Najświętszej Maryi Panny. Dwie ładnie zarysowane bohaterki „Pustyni" — Tamar i Noa — są bez wątpienia lepiej „zrobione" literacko od Rut i Tamar z „Wybrańców gwiazd". Te dwie kobiety dopełniają i realizują — w sobie tylko właściwy sposób — posłannictwo, któremu służy Mojżesz: przybliżanie wciąż narodu żydowskiego, jego konkretnych przedstawicieli do Boga.

Zatem między „Wybrańcami gwiazd" i „Pustynią" są różnice — i to na korzyść ostatniej książki Dobraczyńskiego. A jednak... jednak odłożyłem „Pustynię" z uczuciem pewnego zawodu. Dobraczyński jest pisarzem z gatunku najmilej widzianych przez krytyków: nieustannie zmieniającym się, i to zmieniającym na korzyść. Ale „Pustynia" nie jest taką zmianą — powiedzmy konkretniej — nie jest t a k w i e l k ą zmianą, jakiej by sobie można życzyć. Istota tego rozczarowania tkwi — jak mi się wydaje — w tym, że analogie między „Wybrańcami gwiazd" i „Pustynią" są zbyt duże, że — innymi słowy — zanadto przypominają się przy lekturze ostatniej książki Dobraczyńskiego postacie i problemy znane nam już z innych utworów tegoż autora. Niewątpliwie, dopomaga w tym i analogia historyczna i — o ile to może sądzić ktoś, nie będący Dobraczyńskim — ta sama interpretacja historiozoficzna pisarza. Mimo wszystko jednak postać Mojżesza powinna być chyba w „Pustyni" większą, bardziej wstrząsającą, bardziej wbijającą się w pamięć niespodzianką — niż jest. Pragnienia te proporcjonalnie wzrastają w odniesieniu do innych postaci „Pustyni" Niewątpliwie jest ona dużo racjonalniej, logiczniej i ekonomiczniej wypracowana przez pisarza — ale „Wybrańcy gwiazd" mieli jedną istotną przewagę nad „Pustynią": książka ta była p i e r w s z ą powieścią biblijną Dobraczyńskiego.

Pisząc tę recenzję mam — nie najprzyjemniejsze tym razem — poczucie głoszenia krytycznej herezji wobec pisarstwa Dobraczyńskiego. Od kilku lat, jeśli już się pisze o Dobraczyńskim, pisze się w tonie bardzo serio, pozytywnie, aż — czasem — do granic panegiryku. Myślę jednak, że uczyniłoby się „Pustyni" krzywdę — zwłaszcza jej autorowi — windując ją na wyższy piedestał, aniżeli ma do niego prawo. Powtarzam: „Pustynia" jest poprawniej zrobiona od „Wybrańców gwiazd", nie jest natomiast — jak oni — rewelacją. Oczywiście, nie wynika z tego konieczność rozdarcia szat: linia pisarstwa Dobraczyńskiego nie była nigdy linią nieskazitelnie wstępującą, zdarzały się w niej skręty i załamania Tak więc „Pustynia" jest sygnałem ostrzegawczym nie wobec tego pisarstwa w ogóle, ale wobec — jedynej, jak dotąd, w naszej literaturze współczesnej — twórczości „biblijnej" Dobraczyńskiego Bo jednak wbrew chronologii historycznej, wbrew nawet tytułowi recenzji — przed Mojżeszem był Jeremiasz...

Zbigniew Pędziński

*) Jan Dobraczyński— Pustynia. Warszawa, 1955. Wydawnictwo Pax, str. 312, 2 nlb.

List do laureata

Drogi Wojciechu!

Bardzo się cieszę, żeś dostał tę nagrodę! Cóż, różni różnie będą na ten temat gadali, ale przecież my wiemy, że godne powiedzenia jest jedno: należała Ci się ta nagroda także od nas, zasłużyłeś na nią setnie! Niech Ci służy, niech „zafartuje" inne nagrody, które też Ci się należą. I to nie tylko za tych kilka pięknych, pełnych życia książek, któreś ku radości wiernych Ci czytelników w twardej robocie za siebie już odwalił, ale także za te setki tysięcy kilometrów, któreś w dalekim Wietnamie i dalekich Chinach — nie żałując zdrowia — przemierzył, aby bliższy stał się Wietnam i Chiny bliższe. Należą Ci się laury i dlatego jeszcze że — przywykłszy w Chinach spać na twardych deskach — na pewno w kraju do drzemki na laurach się nie ułożysz.

Więc piszę do Ciebie ten list spod serca, a zdrowie Twoje piję dobrym, mocnym winem. Niech następne dziesięć lat Twojej roboty pisarskiej będzie równie bujne, bogate i pchające Cię coraz wyżej. Coraz wyżej nie tylko w splendorach i atencji społecznej, lecz także w dumie i pisarskich dokonaniach.

Dziesięć lat... kawał czasu! Warto z okazji ostatnio przyznanej Ci nagrody zadumać się nad tym Twoim dziesięcioleciem. Na dziesięć owych lat według moich — być może niedokładnych — obliczeń przypada dziesięć książek na schwał. Obliczmy jeszcze raz: „Z kraju milczenia", „Porwanie w Tiutiurlistanie", „Piórkiem flaminga", „Ręka ojca", „Mądre zioła", „Córeczka", „W kamieniołomie", „Dni klęski", „Dom bez ścian", „Desant na kamiennej wyspie", no a zapowiadają się te oczekiwane, a ponoć już — już mające się ukazać: „Okruchy weselnego tortu". Jak widzisz, wspominam tylko „dorosłe" książki, nie mówiąc o dziecinnym „drobiazgu", jak: „Poszukiwacze skarbów", „Szabla Gabrysia" czy „Słoneczne lato". A i z artykułów czy recenzji też chyba zebrałby się pokaźny tom. Nie ma co: kawał roboty odwaliłeś Wojciechu Pracowity. Należysz do pisarzy o mocniejszej kondycji psychicznej. Patrząc wstecz (choć wiem, że bardziej Cię pociąga patrzenie w przyszłość) możesz z zadowoleniem gnaty przeciągnąć, aż trzaśnie i powiedzieć sobie, i nie tylko sobie: zrobiło się dobrą rzecz, nie jadło się darmo chleba zaufania i szacunku.

Bardzo się zżyłem z Twoim pisarstwem, nie dąsaj się więc na mnie, że nachodzą mnie z okazji Twojego dziesięciolecia pozornie prywatne wspominki o Twojej drodze pisarskiej. Nie wiem, czy opowiadałem Ci kiedyś, że pierwszy raz słyszałem Wojciecha Żukrowskiego bodajże w roku 1945, czy 1946? Tak, to było w Krakowie na I Zjeździe Kół Polonistycznych. Czytałeś wówczas fragmenty ni to reportażu, ni powieści z Ziem Zachodnich. W którejś tam salce Uniwerku Jagiellońskiego wyświetlał się poprzez Twoje słowa żywy, barwny, chociaż na pewno jeszcze nienajlepiej zmontowany film o polskim Eldorado. Po Twoim wieczorze zdarzyła mi się zabawna historia. Wychodząc z zatłoczonej sali powiedziałem: z tego będzie kawał naszej literatury. Wówczas — widocznie zaniepokojony moim akcentem na zaimku dzierżawczym — pokrzykiwać począł jeden z moich oponentów z przedobiedniej dyskusji: Nie! nie waszej, ale naszej. I tak sobie żarliwie anektowaliśmy pisarza, który po „Z kraju milczenia" wydał „Rękę ojca", a po „Ręce ojca" warzył „Mądre zioła".

Dziś — jesteśmy wszyscy starsi i mądrzejsi o dziesięć lat. Z Ciebie — wyrósł pisarz na skalę nie tylko polską, tamten mój zaperzony rozmówca z Uniwerku Jagiellońskiego należy obecnie do tuzów krytyki i bodajże jest doktorem czy profesorem, a i ja czegoś się przez ten czas nauczyłem. I wiem, że rację mieliśmy obydwaj, chociaż nie tak, jak wtedy sądziliśmy. To znaczy, że głupie, przykrótkie — jak kuse spodenki — są podziały na „nasz" i „wasz", bo najistotniejsze jest, aby rosło dzieło służące pięknym słowem, pięknym obrazem i pięknym wzruszeniem — sprawom ludzkim.

Oczywiście, bliższe są mojemu — i nie tylko mojemu — sercu te Twoje utwory, w których poprzez sprawy ludzkie przebijają akcenty, czyniące je bardziej ludzkimi. Stąd mój sentyment do „Kraju milczenia", do „Ręki ojca" czy „Córeczki", a przede wszystkim do najpiękniejszych z wszystkiego, coś do tej pory napisał — „Nocy Ariadny". Pamiętasz? Gdyś wydrukował „Noce Ariadny" kropnąłem do Ciebie epistołę pisaną samymi superlatywami, z których każdy po dziś dzień jest najszczerszą prawdą. Myślę, że to, co bardziej w tych, niż w innych utworach zbliża Ciebie do moich wyobrażeń o literaturze (a piszę o tym dlatego, że wiem, iż są to nie tylko moje wyobrażenia), to żywsza w nich niż w innych utworach pasja przedzierania się poprzez prawdy widzialne ku prawdom ukrytym, żywsza ambicja sporu z tajemnicą rzeczy, ambicja nie zadowalająca się pięknym obrazem rzeczy, lecz drążąca rzecz w głąb.

Ale chciałbym, abyś pamiętał, że nie oznacza to u mnie traktowania np. Twojego „Domu bez ścian" jako czegoś paraliterackiego czy pozaliterackiego. Mówię o tym, bo wiem jak bardzo — i jak słusznie — drażnią Cię snobistyczne migdalenia się nad Twoją „dawną" sztuką, z której jakoby „zrezygnowałeś", by służyć „konkretnej sprawie". Oczywiście, gdy się dokładniej takie żale przemyśli, widać, że to bzdury funta kłaków nie warte. Nie chodzi mi o przeprowadzanie jakichkolwiek podziałów. Nie! Chcę Ci tylko z grubsza wyjaśnić, co akurat mnie przyciąga w Twoim pisarstwie: mądra sprzeczność, rodząca potrzebę ciągłego rozwoju, sprzeczność między ukochaniem barwności i wielorakości Widzialnego a ukochaniem, w każdym bądź razie ciążeniem ku temu, co przekracza Widzialne. Krócej mówiąc: poprzez ukazywanie pełni Widzialnego, stwierdzanie niepełni, nieostateczności Widzialnego.

To brzmi mętnie? Niewyraźnie? Nie wiadomo, o co chodzi? Trudno. Niech już tak zostanie. Może kiedyś uda mi się to dokładniej wyjaśnić, teraz trzeba zadowolić się i taką notatką. Ostatecznie, nie piszę rozprawy o Tobie, po prostu: piszę list.

Dlatego też nie będę wdawał się w dysertacje na temat stylu czy tzw. „treści" Twoich książek. Wiele już na ten temat napisałem, chociaż sam czuję, że jeszcze za mało, jeszcze nie to. Może kiedyś, kiedy bardziej się przyjmie zwyczaj robienia monografii o pisarzach żyjących, i kiedy lepiej będę rozumiał sprawy literatury, a Ty zbogacisz ją znowu o kilka dzieł — może odważę się na coś ambitniejszego o Tobie.

W tej chwili korzystam ze swobodnych praw listu, no i z tego, że w butelce zostało mi jeszcze dobrego wina na tęgi kielich: Twoje zdrowie, Wojciechu, i Twoich przyszłych książek, w których coraz pełniej będziesz odnajdował prawdę o świecie i o sobie. Życzę Ci, gratulując serdecznie dzisiejszych laurów, aby prawda, którą będziesz odkrywał, była pełną, odważną, piękną prawdą. Bo tylko z taką prawdą radośnie zostaje się w literaturze. A Ty należysz do tych — którzy powinni zostać. Pisz Wojtku, tak, jak piję Twoje zdrowie: do dna!

Zygmunt Lichniak

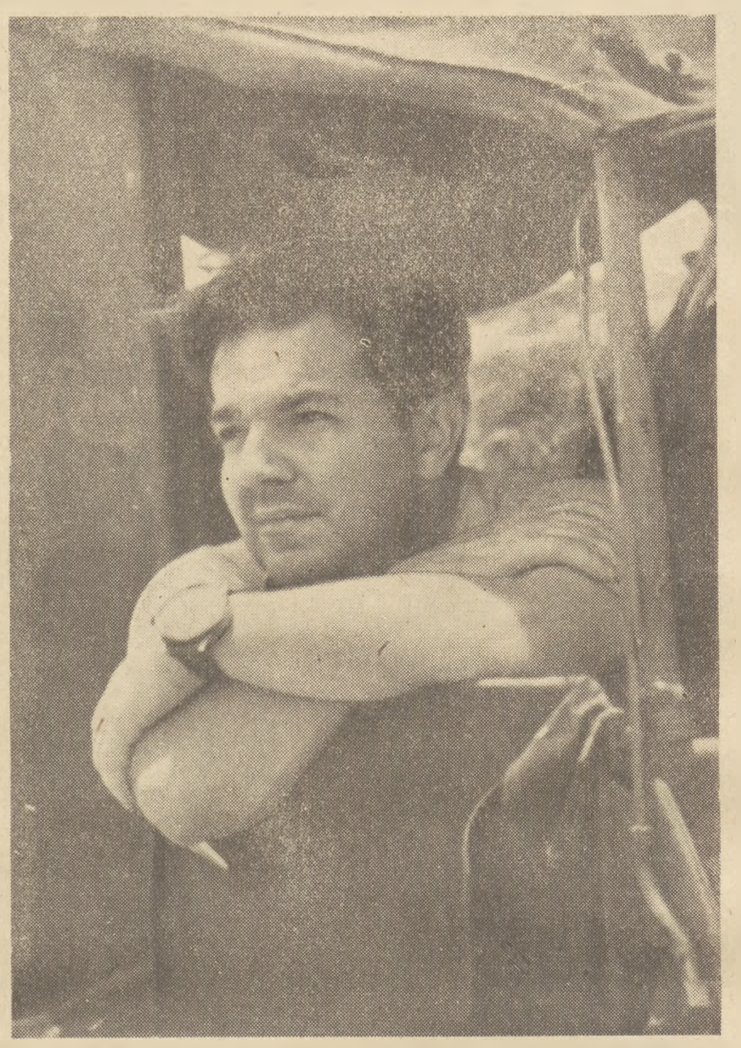

„Fundamentalne przykazanie o miłości bliźniego nie da się ograniczyć do praktyki prywatnej, do gestu jednostkowego miłosierdzia. Historia dała nam twardą lekcję. Miłość bliźniego to walka i zorganizowana pomoc. To czyny i rodzące się z nich fakty".

Wojciech Żukrowski

Od Chin do Tiutiurlistanu

ZE MOICH książek najbardziej lubię te — jeszcze nie napisane, które noszę w sobie, obmyślam, komponuję... Bohaterowie domagają się życia, budzą po nocach, zamykają swoje działanie w sennym obrazie z niepokojącą dokładnością. Każda książka nie napisana wydaje mi się lepsza od tych, które zastygły już w słowach. Sam proces budowania fabuły jest dla mnie najciekawszy... Źle powiedziałem — nie buduję, ja również d o w i a d u j ę s i ę losów moich bohaterów, pozwalając im działać zgodnie z ich charakterami, mimo że to czasem łamie klarowność kompozycji...

Lubię książki, które pozwalają mi na zaskoczenie czytelnika, na przemieszanie tragizmu z rubasznym humorem, na sporą dawkę ironii i fantazji, zresztą też dość kłopotliwej dla krytyków, bo zbudowanej z elementów na wskroś realistycznych. W nich mam możność sprawdzenia, czy wizja, klimat, nastrój, krajobraz, gest, kostium — „siedzą mocno" w opowiadaniu. Często pisałem o krajach, w których nie byłem, o ludziach, których nie widziałem na oczy... Sprawia mi szczerą radość, jeżeli czytelnicy, którzy tam podróżowali, potwierdzają moje obrazy, a nawet je uważają za jakiś koncentrat nastroju z tamtych stron. Mówię choćby o „Świętej cytrynie" ze zbiorku „Piórkiem flaminga", bo do dziś dnia w Italii nie byłem...

Najmniej lubię „W kamieniołomie", tom opowiadań wydany przez PIW. Po prostu przykro brać go w rękę... Papier wprawdzie nie gorszy od klozetowego, ale za to druk nieczysty i wszawa okładka... Pocieszali mnie koledzy, że na jubileusz Jerzego Szaniawskiego uroczą książkę, pełną filozoficznych powiastek profesora Tutki, Krakowskie Wydawnictwo Literackie wydało jeszcze szpetniej.

Takiej odpowiedzi udzielił mi Wojciech Żukrowski, kiedy zapytałem go, jakie z własnych książek najbardziej lubi i dlaczego. Wiadomo bowiem, że opinie czytelników i autora są najczęściej rozbieżne, że pisarz ukrywa poza książką nieznane czytelnikowi, bardzo osobiste racje i motywy, dla których w ogóle książkę napisał, lub nadał jej taki, a nie inny kształt. Z drugiej strony wiadomo, że na wieczorach autorskich czytelnik przejawia niezwykłą wprost aktywność w kierunku zdobycia tych najbardziej skrytych tajemnic pisarza-człowieka; i nie jest to bynajmniej prawo rządzące psychologią odbioru dzieła artystycznego. Nie, to po prostu zwykłe ludzkie zamiłowanie do plotki... Nie jesteśmy a ż tak bardzo kulturalni. Natomiast pisarz — jak to wynika z odpowiedzi Żukrowskiego — bywa piekielnie chytry. I uprzejmy. Po chińsku.

Siedzimy w małym, jasnym pokoiku, który służy autorowi „Ręki ojca" jako pracownia. Oczywiście, z zaciekłością detektywa szukam wszędzie śladu chińskości. Owszem, znajduję kilka porcelanowych figurek, jakiś bardzo stary portret skośnookiej księżniczki, oszołamia mnie wspaniała skóra tygrysa. Wreszcie rozpływam się z zachwytu nad subtelną, prawdziwie po chińsku bogatą i delikatną w kolorystyce akwarelą. Co za wspaniałość chińskiej kultury!

— Nie. To akwarelka Bronisława Linkego, tego od „Z mojego zielnika", tego ze „Szpilek"...

I od razu spuszczam z tonu. Żukrowski jest bardzo czuły na tę z lekka złośliwą atmosferę, którą otoczono go jako specjalistę od Chin. Wyczuwa w niej gdzieś podskórnie nurtujące podejrzenie o eskapizm, o ułatwianie sobie drogi pisarskiej. Dlatego też, kiedy zadaję mu pytanie, czy wyłącznie poświęci się tematyce podróżniczej, odpowiada:

— Nie mogę się zgodzić na takie określenie — „tematyka podróżnicza". Do Wietnamu pojechałem nie po przygody w pogoni za egzotyką. Chciałem pokazać przebudzenie się Azji i sprawiedliwą wojnę o wolność. Moja „Wielka przygoda" zaczęła się dopiero wtedy, gdy poznałem Wietnamczyków, powszedni dzień walczącego narodu. Spoza tropikalnej scenerii dojrzałem niezwykłych, bohaterskich ludzi, którzy łamali swoich wrogów nie tylko bronią, ale i szlachetnością.

Znowu przypominały mi się gorzkie dni naszej niedawnej przeszłości, gdyśmy walczyli z okupacją faszystowską. Było dla mnie nie tylko sprawą niecierpliwego serca, ale i sumienia stanąć z nimi w jednym szeregu bodaj przez parę dni, w ciężkich chwilach zmagań pod Dien-Bien-Fu. Cieszę się, że „Pax" dostrzegł prawdziwie człowieczy nurt tej książki...

Chiny... Przed rewolucją umierały tu z głodu miliony ludzi przy milczącej zgodzie Europy, nawet gorzej — ku zadowoleniu, zgodnie z teoriami neomaltuzjańskimi. Głód i zarazy miały być regulatorem „żółtego niebezpieczeństwa". Co za nikczemna potworność, jakie oskarżenie dla chrześcijańskiego świata! Dziś w Chinach nie ma ludzi głodnych, jest dla każdego czarka ryżu, pole do obróbki, praca... Nie będę tu się rozwodził o wielkich budowach pięciolatki, dla mnie jest ważna najbardziej elementarna sprawa — chłop, którego uwolniono od głodowej śmierci, któremu wrócono godność człowieczą. Cenę tej walki trzeba znać, uczy ona skromności i szacunku. Żeby poznać prawdziwe Chiny, nie w pogoni za egzotyką i wrażeniami, pojechałem dwukrotnie do Azji, poświęciłem tej sprawie rok życia...

Te podróże nie tylko nie odcinają od kraju, ale pozwalają go lepiej widzieć. Pokazują mi Polskę i nasz naród we właściwych, tym razem światowych proporcjach.

Na razie mam dosyć wypraw. Chcę spokojnie pracować... Materiału mam dosyć... I to niepowtarzalnego, gdyż zmiany przebiegają tam szybko, ci, co pojadą w rok po mnie, zobaczą inny kraj... Miałem niezwykłe szczęście być świadkiem, a niekiedy uczestniczyć w przebudzeniu Azji.

Po tej odpowiedzi Żukrowski wyjmuje zdjęcia. Przeglądam około 600 fotografii z Wietnamu i z Chin. Wszędzie dominuje tam portret człowieka: kobiet zajętych przy uprawie ryżu, robotników budujących mosty, lamów z Tybetu. Są bardzo ładne twarze dziewcząt, są też bardzo ostre, surowe portrety schodzącego już pokolenia. Krajobraz ponury i groźny.

— Wyobrażam sobie, że w Chinach budowa socjalizmu może najbardziej namacalnie jest przedłużeniem krwawej rewolucji...

— Tak — Żukrowski podsuwa mi zdjęcia podmytych dróg, rozwalonych mostów, rozgruchotanych ciężarówek — wzdłuż trasy nowobudującej się drogi górskiej znajdujemy dziesiątki grobów. Tam walczy się z przyrodą równie krwawo, jak z kontrrewolucją.

I nie jest to sentymentalne westchnienie poety. Żukrowski zna ból ciężkiej fizycznej pracy — zna go tym lepiej, że jego praca w kamieniołomie nie była opromieniona blaskiem socjalizmu. Była nienawistna, służąca obcej, wrogiej sprawie.

— Ratował się pan wówczas ucieczką do słonecznej krainy Tiutiurlistanu. „Porwanie" jest książką, którą najbardziej z pańskiej twórczości lubię. Wybaczy więc pan moją niedyskrecję i napastliwość. Po wydaniu „Porwania w Tiutiurlistanie" zapowiedział pan dalszą część tej książki pt. „Na tronie w Blabonie". Czekaliśmy cierpliwie nieomal dziesięć lat. Czy wynagrodzi pan tą anielską cierpliwość? I czy możemy się spodziewać wznowienia takich książek, jak „Z kraju milczenia", „Piórkiem flaminga", „Ręka ojca" i „Porwanie w Tiutiurlistanie"?

Żukrowski uśmiecha się:

— Bardzo lubię tę książkę, była dla mnie wytchnieniem w trudnych latach okupacji... Pisałem ją w starej książce rachunkowej, ukrywanej za piecem w kamieniołomie, gdzie pracowałem przez pięć lat.

Pomysł drugiego tomu narodził się dawno. Ma to być rewolucja w Tiutiurlistanie. Rządy obejmują ludzie „czystych rąk" — łaziebnicy królewscy. Dla nich król jest pozbawiony majestatu, znają chuderlawego staruszka z łaźni, którego pod pozorem mycia podszczypują i tęgo chłoszczą.

Ale odkładam napisanie z roku na rok... Porywają mnie sprawy dnia dzisiejszego. Myślę, że mi to czytelnicy wybaczą.

Tiutiurlistan ukaże się w tym roku na gwiazdkę nakładem „Naszej Księgarni". Wydawnictwo Dziecięce w Leningradzie przygotowuje jego rosyjskie wydanie. Wybór opowiadań z tomów „Z kraju milczenia", „Piórkiem flaminga", „W kamieniołomie" i kilka innych w ogóle nie opublikowanych — przygotowuje „Czytelnik" na pierwszy kwartał przyszłego roku.

Po ukazaniu się zbiorku nowel „W kamieniołomie" byłem świadkiem charakterystycznej dyskusji wśród pracowników PIW-u, gdzie wydanie tej książeczki poczytywano sobie za akt szczególnej odwagi, oczywiście nie mając na uwadze strony graficznej i edytorskiej... Ponieważ atrybutem wojska jest odwaga, nie chcąc narażać na te kłopotliwe stany uczuciowe Dyrekcji PIW-u inne książki wydaję w MON-ie.

— Aha — wracam jeszcze do „Porwania" — czy nie uważa pan, że mimo wszystko jest to książka t r o c h ę n i e dla dzieci? Że zachodzi tutaj to samo zjawisko jak w wierszach Brzechwy: dwoistość, a przez to pewna niedokładność adresu książki?

— Nie, nie zgadzam się z panem, moja córeczka ma obecnie siedem lat i bardzo często prosi mnie o przeczytanie jakiegoś fragmentu „Porwania". Oczywiście są fragmenty, które rozumie znakomicie, i są takie, gdzie zbyt subtelna ironia wymyka się jej możliwościom rozumienia. Ale to jest nieuniknione.

— A co pan przygotowuje obecnie? Mówiąc bardziej szablonowo: co ma pan ostatnio na warsztacie?

— Będę pisał tom opowiadań o „Wielkim Marszu" Chińskiej Armii Ludowej i kończył dziwną opowieść „Okruchy weselnego tortu"... Marzę o tomiku opowiadań z dreszczem fantastyki i o opracowaniu legend chińskich...

— Mam do pana pytanie, do którego skłania mnie zasadniczy powód naszej dzisiejszej rozmowy: fakt przyznania panu nagrody literackiej im. Włodzimierza Pietrzaka. Ciekawi mnie, co pan, jako laureat i jako współtwórca literatury katolickiej w Polsce, sądzi o jej rozwoju, o jej perspektywach i o aktualnej jej sytuacji?

— Wydaje mi się, że obręb zainteresowań literatury katolickiej poszerzył się bardzo wychodząc poza parafiańszczyznę, łatwe ilustratorstwo katechizmowych prawd. Książki Gołubiewa, Malewskiej, biblijny cykl Dobraczyńskiego, no i przejmująca grozą sugestywna powieść Leopolda Buczkowskiego „Czarny potok" — stanowią trwałe pozycje w naszej narodowej literaturze. Przemilczanie ich, nie zauważanie przez krytykę oficjalną wydaje mi się poważnym niedopatrzeniem. Książki te nie tylko nie ustępują powieściom znanych autorów, wydanym we Francji, Anglii i Włoszech, ale właśnie w tych krajach budzą żywe zainteresowanie, o czym mogą świadczyć liczne tłumaczenia na obce języki. Książki te służą najszerzej pojętemu humanizmowi, budzą czujność sumienia, uczą współodpowiedzialności za trudny dzień dzisiejszy.

— A przenosząc się na płaszczyznę życia literackiego w ogóle, jakie książki polskich pisarzy z ostatnich lat uważa pan za najlepsze, za najbardziej dojrzałe?

— Duże wrażenie zrobiła na mnie świetna powieść Hanny Malewskiej „Przemija postać świata". To spokojna, dojrzała proza, ogromna erudycja historyczna, prawdziwe postacie... Za drugą równie wybitną książkę uważam powieść Juliana Stryjkowskiego „Głosy w ciemności", którą czytałem w maszynopisie, a wiem, że w czasie mojej podróży do Chin opublikowano ją w „Twórczości"... Powieść o małym galicyjskim miasteczku, o bohaterach na miarę proroków biblijnych. Nie zawahałbym się uznać tej książki o świecie, który bezpowrotnie przepadł w ostatniej z najokrutniejszych wojen, za żydowskiego „Pana Tadeusza".

Z kuchni i z sąsiedniego pokoju dobiega dźwięk talerzy. Obiad. Od setek lat jest to pora poddana władzy kobiety i wówczas kobieta nawet najbardziej lotnych ściąga z Parnasu. Żegnając Żukrowskiego słyszę jeszcze, jak córeczka, tym razem bez cudzysłowu, rozprawia o czymś w pokoju. Niestety, z braku dobrej akustyki, nie podam czytelnikowi dalszej części powieści o małej dziewczynce, która w paszczy hipopotama zobaczyła mały, wygodny fotelik.

Rozmawiał:
Stanisław Grochowiak

BĘDĘ używał odważnie słowa bandytyzm, alkoholizm, prostytucja.

Mógłbym — pisząc o szkołach numer 54 przy ul. Grunwaldzkiej, numer 11 przy Swistackiego czy numer 17 przy Bossak Haukego, gdzie częstym gościem jest milicjant i kurator — wymienić kilkanaście doskonałych uczelni nie mających kłopotów z wychowankami. Mógłbym — wspominając o świetlicy, w której przez cały rok zbierali się uczniowie na niewybredne randki z dziewczętami nawet spoza szkoły — wyliczyć dziesiątki takich, które wychowują i bawią. Mógłbym wyliczyć kilkadziesiąt nazwisk dzieci, którym sądowy kurator przywrócił dzieciństwo, i podać adresy rodzin, którym sąd przywrócił domowe szczęście.

Ale nie będę kończył tej części reportażu optymistycznym happy endem.

Będę używał odważnie słowa bandytyzm, alkoholizm, prostytucja. Ostatnio wiele spraw w naszych dyskusjach nazywamy po imieniu. Myślę, że czas wyprowadzić z sal rozpraw prawdę o przestępczości nieletnich kryjącą się pod osłoną ustawy o tajemnicy sądowej. Zaprosić raz jeszcze do dyskusji prasowej najtęższe pióra sądowników, kuratorów, działaczy społecznych.

I

NA ulicy Kurkowej nie ma wielu latarń. Sklepy chowają się w niszach martwych kamienic. Dom numer 73 wyłania się z kamienistych usypisk gruzu. Strażniczka chodzi z daleka od niemych, czarnych bram. Niebezpiecznie. Oświecone witryny pilnowanych przez nią sklepów oddziela od siebie ponad 80 metrów nie oświetlonego trotuaru. Niedobra jest noc na ulicy Kurkowej. Cisza jest tutaj groźna i niepokojąca. Strażniczka wita z ulgą stukot pośpiesznych kroków zapóźnionego przechodnia. Z daleka rumocze się nocny tramwaj. Pijackie głosy wróżą nieprzyjemne spotkanie. Strażniczka Maria M. schodzi w cień.

Od domu numer 73 dochodzą ją niepokojące szmery. Strażnicy spółdzielni „Ochrona Mienia" nie mają broni. W razie zagrożenia powierzonych im obiektów mają wzywać pomocy. Maria M. krzykiem usiłuje spłoszyć przypuszczalnych złodziei.

Pryskają z piwnic jak szczury. Wysypują się z bramy i wsiąkają w mrok. Strażniczka zna te małe, przygięte sylwetki. Są tu nie pierwszy raz. Rusza w pogoń za dziećmi. Maleńkiego uciekiniera chwyta mocno za kołnierz. Stoją obok siebie. Chłopak ma najwyżej osiem lat. Dyszy ciężko, ale oczy patrzące spod czupryny nie są bynajmniej przerażone. Gwiżdże. W stronę kobiety sypią się dziesiątki cegieł. Kiedy jedna z nich trafia ją w czoło, palce na moment łagodzą uchwyt. To wystarcza. Szarpnięcie, tupot nóg, coraz dalsze gwizdy i piosenka:

„Ja jestem szeryf, najwyższa władza
Zabijam tego, kto mi przeszkadza"...

Maria M. stoi oparta o mur. Ociera krew płynącą z czoła. Tak ją zastajemy nadjeżdżając motocyklem pogotowia MO.

KIEDY ŚWIT GRANICZY Z NOCĄ

Czesław Ostańkowicz

— Co się tu stało? Złodzieje?

— Ci sami — odpowiada beznamiętnie Maria M.

Może cieszy się nawet z tego, że chłopak uciekł. Szajka lubi się mścić. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że myśli Maria M. i o tym, co teraz robi jej Karol. Ojciec jest na nocnej zmianie, a ona tu. Ileż to razy jej chłopak pryskał na noc z domu. Może gdzieś, tak jak ci tutaj, rzuca kamienie na któregoś z jej kolegów? Słyszała przecież kiedyś tę samą piosenkę...

Protokół skończony. Milicjant nie śpieszy z odniesieniem go na dyżurkę. Nie ma co się śpieszyć. Nic się właściwie nie stało na ulicy Kurkowej. Przecież nic nie wyniesiono ze sklepu. Strażniczka lekko draśnięta. Sprawcy nieznani i trudni do ustalenia.

Czy trudni? Przypomniał mi się żal kuratorki narzekającej na brak współpracy kuratorów z Milicją Obywatelską.

IZBA zatrzymań.

— Zły dzień wybrał pan na reportaż, redaktorze. Nic ciekawego — mówi o minionej... nocy sierżant MO. — Ilu zatrzymano? — 17 młodocianych, w tym 4 dziewczyny. — Wiek? — Od 9 do 17 lat. — Za co? — Włóczęgostwo, kradzieże, wódka.

Jest i tradycyjna kolumienka z adnotacją — „Sprawcy nieznani". Też „same głupstwa". Kto by tam zawracał sobie głowę takimi drobiazgami, że konduktorka trzynastki cudem uniknęła ciosu kamieniem. Uniknęła? To i dobrze. Wstawi się wybitą szybę i już po krzyku. Bandytyzm? Za wielkie słowo. A więc co? Zabawa?

...i te dziesięć worków złośliwie pociętych żyletkami. Też właściwie nic ważnego. Parę kilo wysypanej soli PSS przeboleje. Strata nie duża. Kilkadziesiąt złotych. I tu też nie stwierdzono cech rabunku. Poza tym przepędzono bandę handlarzy biletami sprzed kina Śląsk... zanotowano kilka chuligańskich napadów na ludzi wracających z teatru.

Czyżby doprawdy nie było w tym nic ciekawego?

Zajrzyjmy do zatrzymanych. Siedzą zwartą gromadą i dyskutują. O filmie. Szkoda, że nie słyszeli tej dyskusji panowie z „Filmu Polskiego", którzy narzekają na brak scenariuszy. Scenariusz jest i to jaki scenariusz! Jego konspekt można przejrzeć w teczkach Wydziału Opiekuńczego Sądu dla Nieletnich, w brulionach kuratorów, kronikach MO. Znajdą się i aktorzy. Spróbujcie panowie przyjechać choćby do Izby Zatrzymań. Zaproponujcie napotkanym tam dzieciom o mentalności dojrzałych ludzi: — Nakręćmy razem film z waszego życia. Odkrzykną wam tak jak i mnie: Zgoda! Byłby to film pasjonujący. Film potrzebny. Niezwykle pomocny w pracy rodziców, kuratorów, nauczycieli. Sojusznik sądu i milicji. Trzeba umieć go tylko odpowiednio nakręcić. Ale to już sprawa „fordów i jakubowskich".

II

PRZYSZEDŁEM do sądu, by podyskutować z sędzią Barbarą Cz. nad zebranym materiałem. Trzeba trochę poczekać. Kierownik Wydziału Opiekuńczego nie wszystkie sprawy załatwia na sali rozpraw. Od godziny przysłuchuję się dialogom, których nie spodziewałem się w tym gabinecie:

...„idę do szpitala gruźliczego... mąż też w sanatorium... proszę o miejsce w Domu Dziecka dla mego chłopca i dziewczynki". „Pilne" — opiniuje to podanie sędzia. I znów... „dziękuję za opiekę. Władek wrócił do domu z Sobótki. Wychowam go teraz... sama już nigdy nie wyjdę na ulicę. A tę pracę, dostałam. Bóg zapłać"... Sędzia Cz. nie „odfajkowuje" sprawy obywatelki, której syn wrócił z „poprawczaka". Pisze: „Zawiadomić kuratora. Wizytować. Często"

Są i inne sprawy: — „stawiam wniosek o natychmiastowe ograniczenie praw rodzicielskich nad trojgiem dzieci ob. Kwiatkowskiej z Gwarnej. Sprawa wymaga natychmiastowej interwencji. Milicja zabrała całą rodzinę, a dziećmi opiekują się sąsiedzi". Znów pilne polecenie adresowane do kierownika Pogotowia Opiekuńczego.

Ilu czytelników tego reportażu wie o tym, że w razie choroby rodziców, trudności finansowych, czy innych nieszczęść, które spadły na nich — dzieci znajdują opiekę właśnie w gmachu na ulicy Sądowej?

Z SALI wychodzą jazgocąc trzy kobiety. Matka i dwie córki. Prostytutkom towarzyszy „kuzyn", sutener spod dworca. Ich podopieczny dziś jeszcze wyjedzie tam, gdzie mu państwo gwarantuje możność nauki w dobrych warunkach. Wchodzą następni. Stają z dala od siebie. „Nikt z naszej rodziny nie był przed sądem. Taka hańba!" — zawodzi matka.

„Hańba" ma sympatyczną buzię zaczerwienioną po białka. Szkolny mundurek czysty, bez plam. On i włamanie? Tak. Oskarżony Tomasz Sz. z ul. Cichej włamał się do sklepu PSS. Co skradł? Sędzia wylicza z aktu oskarżenia: „5 tabliczek czekolady orzechowej, 2 kilogramy cukierków". W sklepie było wiele cenniejszych przedmiotów. Były i pieniądze. Tomasz ich nie ruszył. 325 złotych zabrał Janek O. recydywista. Trzeci raz staje przed sądem. Pierwszy raz obeszło się wyznaczeniem kuratora. Drugi raz — Dom Poprawy. On też zaczął od „głupstw". Piórniki, jakieś śrubokręty ze szkody zawodowej, króliki, gołębie, koks. Tylko że matka Janka nie lamentowała tak, jak matka Tomasza. — „Sprytny". „Da sobie radę w życiu". Nie bardzo dał.

Czekam na pojedynek mądrego jurysty z inteligentnym odważnym chłopcem, o którym napisano z Sobótki, że jest bardzo ambitny. Sędzia zna takich podsądnych. Z takimi „nic na krzyk". Nie zlęknie się. Trzeba szukać innych dróg do duszy chłopca.

— Porozmawiajmy jak ludzie dorośli. Mówisz, że już nie będziesz kradł. Chciałbym ci uwierzyć, ale przecież tamtemu sędziemu, który ci dał tylko pół roku, też obiecywałeś nie kraść.

— Ale to było co innego! On mi nie wierzył i dał się tylko kiwnąć. Pan sędzia do mnie jak do mężczyzny.

To traktowanie jak dorosłego tego dzieciaka nie zakrawa na żart. Malec kilka miesięcy zarabiał na siebie pracując jako zdolny pomocnik ślusarski. Nauczyli go fachu w Sobótce. On doprawdy się czuje jak dorosły.

— A więc: słowo?

— Słowo.

— Wierzę ci i zawieszam wyrok sześciu miesięcy na rok. Ale uważaj...

Obaj chłopcy opuszczają salę sądu. Nad pierwszym roztoczy baczniejszą opiekę matka. Nad drugim — kurator. Wierzę i ja, tak jak sędzia B., że żaden z tych chłopców nie stanie już przed sądem.

NA trzecim piętrze wielkiego gmachu korytarz jest taki sam, jak na wszystkich pozostałych. Ciemny i wąski. Na ławach siedzą przeważnie kobiety. Rzadziej ojciec lub opiekun ironicznym uśmiechem pokrywający zakłopotanie. Temu, że jego dziecko stanęło przed sądem, jest winna oczywiście żona, kochanka, dziewczyna, z którą „chodził". On — nigdy! On nie wychowuje dzieci. Nie męska sprawa. On zarabia. Bardzo różne kobiety obsiadają ławki sądowego korytarza. Zatroskane matki, dziewczęta w modnych kreacjach, kobieciny owinięte chustkami. Jednakże na wszystkich twarzach rysują się podobne tragedie, niepewność, strach.

Pogodni milicjanci częstują konwojentów tytoniem. Ich podopieczni nie wymagają takiej czujności, jak ci z innych wydziałów. Jeśli zostawić przejście prowadzące na schody — nie zwieją. Poza tym ich podopieczni są bardzo zajęci. Grają w piłkę. Pewnie „rąbnęli" komuś przyniesiony do sądu... dowód rzeczowy. Janek Z. Recydywista. Tłumaczy coś pod oknem zgromadzonej czeredzie: — „Jeżeli sędzia z siwym pasmem na skroniach — da pół roku, a może nawet zawiesi. Gorzej, jeżeli ten młody. Rok! Murowany! „Rok nie wyrok" — pociesza wystraszonych chłopców. Są to tzw. „cykliści". Sprawa rowerowa. Na Niskich Łąkach wykryto cały skład rozmontowanych rowerów. — My nie kradliśmy na sprzedaż. Dzieliliśmy się sprawiedliwie, aż miało się uzbierać dwadzieścia „maszyn". Tylu nas było. Kradliśmy, bo chcieliśmy robić wycieczki. Nie. Nie do Ameryki, proszę pana. Do lasów leśnickich, na Sobótkę.

Magistrze Kukiz z wrocławskiego PTTK: a może by tak zrealizować racjonalizatorski pomysł niefortunnych miłośników turystyki. Wystarczy 20 zdemolowanych gruchotów, by powstała pierwsza w Polsce sekcja turystyczna PTTK dla dziesięciolatków. Nie byłoby ich tylu w sądzie. Plaga złodziei rowerów jest jedną z największych zmór nękających Sądy dla Nieletnich. No i byłoby dużo mniej płaczących matek, przełykających ze łzami wstyd wyczekiwania na wywołanie z wokandy nazwisk ich synów.

III

BOŻENKA K. Ma 15 lat. „Chodzi" — dwa. Zatrzymana wczoraj przez milicjanta, kiedy wychodziła z dworca ze starszym panem. Pijaka bez trudu wyprowadzi z dworca na złej sławy ul. Stawową — piętnastoletnia, zgrabna dziewczynka. Zaciągnie do bramy, a tam już czekają wspólnicy: „Cegłą, albo forsa". Wczoraj nie udało się. Nie liczy nawet na zawieszenie. To już siódmy raz zatrzymuje ją w podobnych sprawach MO.

Genowefa P. Wiek około 16 lat, bez stałego miejsca zamieszkania. Mogłaby dużo opowiedzieć, ale milczy ponuro. Co tu opowiadać? Ot, za... życie. Nigdy innego nie miała. Matka też „chodziła" od czasu, jak ojciec poszedł do młodszej. Trzykrotnie uciekała z domu poprawy i wie, że teraz pójdzie do więzienia. Trzy portfele i 700 złotych będą dowodem rzeczowym w nowej sprawie o złodziejstwo. Może to i prawda, że nigdzie nie otrzymała pracy. Kuratorka opowiadała mi, że największym wrogiem kuratora jest odmawiający z reguły współpracy „personalny". Teresa M. Córka pijaka-sadysty wyniosła z domu złośliwy uraz, z którym nie może sobie dać rady ani kurator, ani MO. Bożena (12 lat) niszczy nożyczkami suszącą się na strychu bieliznę sąsiadów, nadcina drzewka uliczne, wylewa atrament na sukienki koleżanek. Ta pójdzie z sądu na klinikę psychiatryczną.

Tak samo zaczęło się z jej rówieśniczką, J. B. Sprawa była głośna: dziecko oglądało przez wiele lat znęcanie się ojca nad matką, macochą, siostrami. Czuła nieraz twardość rzemienia na swej skórze. Drżała z ciekawości chcąc poznać przyjemność bicia słabszych. Był więc szczeniak sąsiadów utopiony w kałuży. Gniazdo piskląt strącone z drzewa. Wreszcie przyszła okazja. Janka kradnie dziecko pozostawione w wózeczku. Bawi się nim. Potem dokucza. Wreszcie zakopuje w śniegu, a przestraszona kwileniem porzuca je na odludziu. Straszne, bezrozumne morderstwo.

Powiecie: dziedziczność? Nie. Nie dziedziczność. Dom nie był domem dla tych dzieci.

Był przedpokojem świata zbrodni.

WYSZLIŚMY na spotkanie tej nocy. Na Placu Grunwaldzkim jęczała karuzela. Obok pijaczył się śpiew. Dzieciarnia czatowała na porzucone przez pijaków butelki. To skutek nieprzemyślanych zarządzeń o szkolnej zbiórce odpadków. Każde dziecko musi przynieść dwie flaszki.

Szybko zapadał mrok. Weszliśmy w labirynt uliczek, o których pani Wanda mówi, że są pozostałością po niemieckim „szaberplacu". Na miejscu starego targowiska dawno już wyrosły wielkie domy akademickie, ale na Piwnej, Szarzyńskiego, Grunwaldzkiej i Ładnej pozostały meliny i ich lokatorzy. Ta, której szukamy, jest niewidoczna, ukryta za szeregiem beczek. Schody uciekają w dół tak że nie znający tej pułapki musi upaść. Na ulicy żadnej latarni.

— ... pani znów do nas? Czego tu? Szpiclować?

— Gdzie jest Jarek? O tej godzinie ma być w domu.

— A (...) go wie! Niech pani tutaj często nie przychodzi. Tu cnotkę można stracić. — Przyglądam się rechocącemu drabowi. Wstaje z łóżka. Przeciąga się. Demonstracyjnie poprawia spodnie. — „Mogłabyś lepiej (per „ty") postarać się o obiecaną pracę dla żony, a nie naprowadzać nam takich, jak...

Wzrok, który kieruje się na mnie nie wyraża na pewno przychylności.

— Pan jest opiekunem dziecka. Wiem, co ono robi o tej godzinie. Będzie pan odpowiadać za to...

— A dowodnik hrabina ma? Chłopca sam wychowam! Na człowieka, a nie na waszego.

Gęba draba nie ma już przymilnego uśmieszku. Boże, ile może być w ludzkiej twarzy nienawiści! Wiedziałem gdzie idę, ale nie spodziewałem się nawet tutaj aż takiego przyjęcia. Jak sobie z tymi inspekcjami daje radę kuratorka? Nie zawsze przecież towarzyszy jej mężczyzna. Drab mityguje się. Może przytomnieje, a może przeląkł się konsekwencji i wizyty MO. Mówi prawie uprzejmie, zwracając się nie do kuratorki, a do mnie. Uważa mnie widocznie za kogoś ważniejszego.

— Nie mają państwo na co czekać. Jarek jest u... cioci. Może wróci na noc, a może i nie. Pójdzie prosto do szkoły.

— Jarek nie był w szkole od kilku dni — mówi mi potem kuratorka. — Póki ten dwunastoletni chłopak nie wpadnie na włamaniu, albo milicja nie wpakuje za kraty tego „opiekuna z ramienia rodziny", nie ma podstaw do wytoczenia sprawy o wydostanie chłopca z tej meliny i umieszczenie go w PDD.

— A ów artykuł 63 § 2 mówiący o „rozkładzie moralnym rodziny?" Czyż tutaj nie brak takich właśnie podstaw?

— Wniosek kuratora nie wystarcza. Dla uzyskania wyroku trzeba dowodów. Ten „opiekun" w każdej chwili przedstawi sądowi zaświadczenie z miejsca pracy poparte stwierdzeniem MO, że od wyjścia z więzienia nie był już notowany w milicji. Poufna opinia dzielnicowego Komitetu Frontu Narodowego, że opiekun jest pijakiem, awanturnikiem i kobieciarzem spowodować może najwyżej wyznaczenie kuratora. A co może zdziałać kurator, pan widział.

TERAZ już nie melina, a ulica Smoluchowskiego i piękny „profesorski" dom. Pani doktorowa jest chłodno uprzejma. Ma żal do mojej przewodniczki. „Pani Kurator nie umie załatwiać spraw na platformie towarzyskiej". Psuje opinię jej Józikowi. „Czyż dziecko takich jak my rodziców może być przestępcze? Wyszumi się, ustatkuje".

Józek S. za rok zdaje na Politechnikę i pewnie zostanie przyjęty. Tatuś profesor. Mamusia — aktywistka w bloku. „Niewyszumiałego" Józia, nie mającego jeszcze 17 lat tatuś trzykrotnie przyprowadził z komisariatu MO. Ostatniej awantury nie dało się zatuszować i stąd wizyta kuratorki. Nie siedział zresztą dłużej niż trzy godziny. Tatuś zaręczał, pokrywał pretensje finansowe. Zresztą Józieczek nie napada i nie kradnie. On bawi się w szefa. Gorzej na tym wychodzą podkomendni. W domu poprawczym jest Zosia K., córka praczki (stała na czatach), Paweł F. „gazeciarz", notoryczny złodziej okradający kioski (11 lat, cztery wyroki, dwie sprawy w toku) siedzi już w więzieniu. Troje rodzeństwa S. z ulicy Klary Zetkin czeka na rozprawę. Na rezultat „wypadu" Józio czekał w „Tosce", gdzie ma mir u miejscowych prostytutek (...„plotki, pani kuratorko, plotki").

Czekamy na chłopca cierpliwie do jedenastej w nocy. Pani doktorowa ma do nas prośby: — „niech państwo nie martwią ojca, on taki nerwowy. Jeśli Józio coś zbroił, natychmiast ureguluje gotówką. A opinii psuć nie trzeba... Matura"...

Zapytałem Pani Wandy, czy o wyczynach Józia wie jego wychowawca? Zresztą — mniejsza o wychowawcę, bo jest to zapewne „kolega tatusia". Czy wie Rada Rodzicielska? ZMP?

Pani Wanda zawiadomiła szkołę, ZMP i MO o swych kłopotach z podopiecznym. Oto rezultaty: ZMP nie przysłało odpowiedzi. Szkoła — „nie ma kłopotów z uczniem Józefem S." MO — ma... ważniejsze kłopoty.

Wracając z tych inspekcji rozmawialiśmy o konieczności ustawy, która by zwiększała uprawnienia kuratorów Wydziału Opiekuńczego Sądu dla Nieletnich. O ustawowym powiązaniu ich pracy z Radami Narodowymi, Komitetami Rodzicielskimi, dyrekcjami szkół i milicją.

NOTUJĘ: Kazik K. z ulicy Nowowiejskiej. Lat 14. Trzy wyroki. Nowa sprawa w toku: — ...tramwaj. Senna starsza pani wracająca pewnie z Opery. Na schludnego chłopca nikt nie zwraca uwagi. Torebka wróży dobry łup. Wystarczy strzepnięcie palcami i otworzy się zamek. Próbuje. Ktoś zobaczył. Krzyk. Milicja. Izba Zatrzymań. Sąd.

Szablon? Nie ciekawe? Słusznie. Kilkaset podobnych scenariuszy napisał w swoim życiu sierżant MO.

Poszukajmy czegoś bardziej interesującego z wcześniejszych okresów życia Kazika. Oto one: Schludne mieszkanie. Ojciec, stolarz zarabiający 2500 złotych miesięcznie. Matka — potulna, nieinteligentna kobieta. Taka, co to lamentuje bezradnie! „Nie wyciągaj ojcu pieniędzy. Bądź dobry dla mamy i nie kradnij cioci ze straganu". Nigdy groźba. Nigdy represje. A ojciec? Ojciec wali pasem. Jeśli był zły — sprzączką. Co kilka dni. Często bez powodu. Profilaktycznie i zawsze po pijanemu ...„oh, jak ja, proszę pana nienawidzę tego chama"... „Mama jest głupia jak krowa". Oto jakich uczuć dopracowali się rodzice Kazika. A skutki? Kiedy ojciec pił, chłopak wsiąkał w noc. Z nocą zaprzyjaźnił się mając lat dziesięć. „Gruba Frieda", handlarka z placu Grunwaldzkiego, przygarniała Kazika. Ona to nauczyła go „kochać". Jej znajomy poprowadził chłopca na pierwszą „robotę"...

— „Byłem mały i szczupły. Wsadzali mnie przez lufcik, albo wpuszczali oknem do suteren".

Co otrzymywał za swe nocne wyprawy, nie potrzebujący ani pieniędzy, ani chleba, syn bogatego stolarza? Przygodę, wódkę, „miłość" owej Friedy i awans na kolegę swego szefa.

Dziś na posterunku MO znalazł się rzeczywiście bez winy. Wrócił z domu poprawczego w Sobótce, zwolniony przedterminowo. Nie otworzono mu drzwi domu. Matka zamknęła się z... „no, takim co pan wie". A ojciec? Ten dawno rzucił dom. Wstydził się... syna złodzieja.

Milicjant przyprowadził tu chłopca z ulicy, żeby nie marzł. Prześpi się i pójdzie.

Gdzie pójdzie? Do matki? Do ojca, po to, żeby bił? A może do szkoły? Nie. Do szkoły nie pójdzie na pewno. Przecież uciekł z niej na skutek szykan nauczycielki, która nie chciała mieć w klasie parszywej owcy.

Więc gdzie pójdzie po pomoc czternastoletni obywatel Kazimierz K?

„...na podstawie art. 61 § 2 Sąd postanowia pozbawić Jolantę Borowiec władzy rodzicielskiej nad jej dziećmi zrodzonymi ze stosunku pozamałżeńskiego: Januszem urodzonym w roku 1951 i Bogną urodzoną w roku 1953. W motywach wyroku Sąd wziął pod uwagę..."

Toczą się zdania uzasadnień, ale ich nie słucha strona, Jolanta Borowiec. Kobieta, która przed chwilą przestała być matką swych dzieci. Dla niej skończyło się wszystko z chwilą, kiedy sędzia powiedział owo: „Pozbawić praw rodzicielskich".

Przyglądam się Jolancie Borowiec. Jest co najmniej bardzo przystojna. Ubrana skromnie, ale ze smakiem. Torebka, najnowszy model z Galluxu (cena 675 zł) szkli się czerwoną plamą na czerni kostiumu. Taki kostium, nawet na wrocławskich ciuchach musi kosztować 1 000 zł. Wyrokiem jest zaskoczona. Widać to po niezdecydowanym ruchu ręki, poprawiającej nylonową woalkę i kiedy uśmiecha się z niezamierzonym wdziękiem pytając sędziego o to, czy może wnieść apelację.

— „Przysługuje obywatelce to prawo z ustawy"... — odpowiedź wypada sucho i szorstko. Jolanta Borowiec szuka natychmiast pomocy u adwokata. Wobec niego nie jest już taka ujmująca. Zapłaciła mu przecież, a on przegrał! — „Niech pan coś robi! Nie mają prawa zabierać mi dzieci! Nie oddam! Nie jestem złodziejką i nikogo nie zabiłam" — wyrzuca z siebi szybko i histerycznie.

Adwokat urzędowo, matową recytacją zapowiada złożenie rewizji. Sprawa Jolanty Borowiec jest zakończona. Protokulant wywołuje z wokandy następną sprawę.

— Ta Borowiec nie ma żadnych szans — stwierdza pani Wanda, kurator oprowadzający mnie po bezdrożach świata nieletnich przestępców. Artykuł 63 § 2. Pozbawienie praw rodzicielskich za rażące zaniedbanie obowiązków matki. — Tę mamusię MO, Sąd, opiekun dzieci (kierownik Państwowego Domu Dziecka) szukali dwa i pół lat. O te dwa lata za późno przypomniała sobie o swych malcach. Są już przysposobione. Znalazły rodziców i taki dom, który gwarantuje im przyszłość.

— Ależ to ogromna kara dla matki!

— Kara? Źle pan to ujmuje. Wydział Opiekuńczy Sądu nie ma na celu wymierzanie kar rodzicom. Celem jego jest obrona tych kilkuletnich maleństw przed wchłonięciem ich w świat przestępczy. Wyrok, który pan słyszał broni dwoje dzieci przed złym światem ich matki.

Co robi teraz Jolanta Borowiec? Jeżeli wierzyć doświadczeniu kuratorki — jest już w Teatralnej. Pije kawę z koniakiem. Tylko czy dziś alkohol zdoła zagłuszyć w niej dokuczliwą myśl o tym, że nie zobaczy już nigdy swych dzieci? Może wyjątkowo dziś odpowie nawet komuś z pierzą: „Nie". Ale pewnie zostanie po staremu. „Jola" będzie zawodowo uprzejma i nie odmówi nikomu z „towarzystwa". Klin — klinem.

Przyznaję, że wchodząc do kawiarni bardzo chciałem tego, by moja przewodniczka nie miała racji. Jolanta Borowiec, ta z sądu, nie wydawała mi się bowiem kobietą zasługującą aż na tak bezwzględny wyrok. Niestety jest. Wita nas dyskretnym ruchem dłoni tak, jak się wita dobrych znajomych. To nic, że się znamy tylko z sali sądu...

...gdybyśmy nie odbierali dzieci takim jak ta pani, gdybyśmy nie wyznaczali im opiekunów, kuratorów, nie kierowali do Domów Dziecka (dzieci do lat trzech), Zakładów Wychowawczych (od 7 do 13 lat), do Domów Poprawczych (dzieci starsze i recydywistów), gdybyśmy nie szukali dla nich rodzin zastępczych — przepełniłyby się nasze więzienia. Gdyby Sąd dawał się oszukiwać pozornej solidności rodziców, to wtedy każdej nocy we Wrocławiu...

Czesław Ostańkowicz

Krytyka i reakcyjność

„Wśród tych, którym zawdzięczam mój skromny sukces — pierwszeństwo ma człowiek, który nie posiadając fachowych kwalifikacji literackich dopomógł mi jednak najbardziej! Tym człowiekiem jest moja żona".

Jerzy Stadnicki

(Dokończenie ze str. 8)

Więc co? Zrezygnować z krytyki?

Niełatwo. Pisarze, którzy afirmowali dziesięć lat temu lub dawniej, byli w dobrym położeniu mieli co afirmować. Te słowa brzmią nieco dwuznacznie. Spieszę wyjaśnić, że w okresie, kiedy oni debiutowali, działy się rzeczy rozstrzygające, gorzała jeszcze walka, imię przeciwnika było legion. Ten, kto chciał walczyć, nie miał kłopotu z poszukiwaniem wroga, brakowało żołnierzy. W literaturze ówczesnej pełno było spraw nie załatwionych.

Dziś jest inaczej. Rewolucja jest faktem. Wróg — w swej masie — jest pokonany. Nie przekonani są garstką. Szkodzić — to ponosić bardzo wielkie ryzyko.

Innymi słowy: nie potrzeba dziś pisać ani o konieczności reformy rolnej, ani o potrzebie sojuszu ze Związkiem Radzieckim, ani o kulturze dla mas. Te rzeczy dawno się stały, a kto by je głosił, wywalałby otwarte drzwi.

Oczywiście, dużo jest jeszcze do zrobienia. Zawsze jest dużo do zrobienia, a Prus napisał: — Narzekanie na brak sposobności do czynu jest sposobem ukrywania własnej niemocy.

Zastanówmy się więc, jaką drogą może iść twórczość współczesnego pisarza polskiego?

Widzę, w zasadzie, trzy drogi: po pierwsze: można (zgodnie z zasadą, że nie treść jest ważna, tylko stosunek do treści) robić w literaturze to, co czynią w malarstwie malarze kwiatów, martwych natur lub pejzaży. Wypowiadać się na tematy „neutralne", odwieczne, uprawiać np. literaturę typu Arkadego Fiedlera — nawiasem mówiąc: świetną literaturę — pisać powieści historyczne lub obrazki obyczajowe, pisać o psychologii, miłości, muzyce, wynalazkach — tematów aż nadto. Wyznam jednak, że w tym całym bogactwie nic nie znajduję dla siebie. Nie umiem pisać o pięknie natury, mało podróżowałem, historia interesuje mnie bez porównania mniej od współczesności i — co tu zawracać głowę: mam temperament do problematyki aktualnej.

Można też robić to, co czyni tak niezrównanie Wiech i inni felietoniści, ale nie tylko felietoniści, także tacy pisarze, jak Jurandot, w zasadzie — satyrycy, którzy rozprawiają się ze złem na odcinku codzienności, którzy w dowcipny sposób walczą nie tyle o socjalizm, co o jego wykonanie. Jest to bardzo piękna linia twórczości, wymagająca jednak specjalnych uzdolnień, w zasadzie satyrycznych.

Zostaje więc trzecia możliwość, polegająca na mniej lub więcej udanej próbie atakowania zagadnień centralnych, pisarstwo filozoficzne, polityczne, moralne. Ale — powiedzmy szczerze — sprawy centralne nie rozstrzygają się dziś w Tarnowie, ani nawet w Warszawie. Sprawy centralne to jednak atom, Genewa, Maroko. Aby o nich pisać, trzeba wyruszyć w świat a przynajmniej — ogromnie poszerzyć swoją wiedzę o świecie.

Jeżeli więc nie potrafi się pisać o sprawach międzynarodowych, nie znając ich z bardzo bliska, a nie chce się rezygnować z tego, co nazwałem „problematyką centralną", to trzeba mówić o tym wszystkim, co jest u nas złe i długo jeszcze złem pozostanie. A nie chcąc powtarzać tego, co napisali już Andrzejewski, Newerly i Jarochowska, można czynić tylko jedno: dostrzegać zło tam, gdzie go jeszcze nie dostrzeżono, pisać o pewnych sprawach nie po, lecz przed odpowiednim plenum, lub, jeśli kto woli, być rzecznikiem coraz to większych wymagań. Ależ to właśnie krytyka!

Przykład: stan naszej obyczajowości, naszego życia rodzinnego, moralności naszej młodzieży — jest fatalny. Zawinił w tym częściowo pośpiech rewolucji, ale zagadnienie jest głębsze, po prostu dojrzewamy do tego, by poddać władzę rodzicielską kontroli. Pisałem już w reportażu pt. „Z punktu widzenia" o rodzicach, doprowadzających swe dzieci do obłędu lub do przestępstwa. Pisałem, że to zjawisko ani trochę nie jest sporadyczne. Instytucja, która byłaby powołana do takiej kontroli, komitety blokowe, wyrażając się grzecznie — śpi. Czy nie byłoby wspaniałym tematem literackim opisać ten proces, wskazując na naglącą konieczność usprawnienia działalności komitetów blokowych?

Tak, ale na to, by taka powieść spełniła swoje zadanie, trzeba by pokazać zło w całej jego grozie, trzeba by pokazać ojca-pijaka, matkę-prostytutkę, dziecko nerwowo chore. Powiedzmy, żebym to wszystko opisał i powiedzmy, żebym znalazł wydawcę. Czy krytyk „Kultury" paryskiej, lub recenzent „Wolnej Europy" nie krzyknąłby z triumfem: — Oto nareszcie prawdziwy obraz rozkładu rodziny w bolszewickim ustroju, przemycony przez eks-obszarnika!

Rozumiem te obawy. Rozumiem i podzielam. A przecież nie chciałbym pisać o ptaszkach, zachodach słońca ani też — o szkodliwości kułaków.

Lichniak napisał w recenzji z „Ludzi znad zatoki" (cytat z pamięci): „Kiedy oceniamy książkę młodego pisarza, który popełnił dużo błędów i mamy udzielić mu generalnej rady na przyszłość, pisać, czy też nie pisać — w takiej chwili powinniśmy uwzględnić jedno: czy debiutant ma coś do powiedzenia, czy nie".

Proponuję więc Lichniakowi przystosowanie powyższej zasady do celów politycznych. Kiedy wahamy się, czy mamy uznać debiutanta za krytyka niedociągnięć, czy też za przemytnika wrogości, wówczas powinniśmy uwzględnić, czy nasz młodzieniec sympatyzuje z ludźmi, czy nie.

A czy to można? Wydaje mi się, że jednak można. Są jakieś subtelne, ale niewątpliwe sposoby rozstrzygnięcia tej sprawy. Podam jeden, zaczerpnięty z dziedziny psychiatrii:

Jak wiadomo, geniusz często sąsiaduje z obłędem. Sąsiaduje tak blisko, że psychiatra może mieć wątpliwości, czy ma do czynienia z geniuszem, czy też z wariatem. Wiadomo przecież, że ludzi genialnych często poczytywano za wariatów. Teoria Kopernika, teoria Einsteina i inne uchodziły przecież kiedyś za bzdury, a ich twórcy — za pomyleńców. Jak to sprawdzić, nie będąc samemu astronomem?

Chcąc sprawdzić, trzeba prześledzić drogę, którą przebyła myśl ludzka, nim doszła do twierdzenia, o którym nie wiemy, co sądzić. Zegarek idący naprzód i zegarek idący wstecz będą w pewnej chwili wskazywać tę samą godzinę. W tej sekundzie nie podobna rozstrzygnąć, który z nich dobrze chodzi. Ale w minutę później — już wiemy.

Z krytyką i reakcyjnością sprawa ma się podobnie.

Jerzy Stadnicki

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Pamiętniki wrogów

Jeńców z kuomintangowskiej armii odwiedziliśmy w obozie.

WŁAŚCIWIE trudno tak nazwać dwa rozległe domy, połączone zadrzewionymi podwórzami. Za kanałem toczyło się powszednie życie małego chińskiego miasteczka. Jeńcy byli wynoczęci, pełni humoru, skorzy do rozmowy. Opowiadali o wydarzeniach, które poprzedziły bitwę o wyspę Idziensan, skarżyli się na kuomintangowskich oficerów i brutalne traktowanie, samowolę czangkaiszekowskich dowódców na archipelagu Taczen.

W niektórych opowiadaniach czułem drugie dno, pośpiesznie zacieraną przeszłość. Kilku jeńców przeszło szkolenie u członków „Western Company", ośrodka wywiadu amerykańskiego. Nie wszystkim przytaczanym faktom dawaliśmy w pełni wiarę. Psychologia jeńca i to wziętego po druzgocącej klęsce ma swoistą patologię.

Inaczej jest z pamiętnikami. Kuomintangowcy pisali je z dnia na dzień, jeszcze pewni siebie, w okresie, kiedy wierzyli, że uderzą na kontynent. Miałem w ręku trzy pamiętniki. Dwa grube niebieskie bruliony i trzeci na wpół przedarty notes. Jeden z dzienników znaleźliśmy sami, dwa otrzymaliśmy w dowództwie jednostki, która zajmowała wyspy Taczen.

W dwóch wyraźnie są zarysowane charaktery kronikarzy, oficera szkoleniowego kompanii i batalionowego kancelisty, wrażliwego, uczuciowego studenta, ale zarazem wroga. Z tych pierwszych najwięcej przytaczam wybranych fragmentów.

Trzeci, bez sensacyjnych faktów, jest kulinarną kroniką: dowiadujemy się z kartek, co oficer każdego dnia jadł, jak były przyrządzane potrawy, i jak się wahały nastroje uzależnione od pełnego żołądka. Cytuję dwie krótkie, wymowne notatki:

„Dziś młodszy brat Liao przyniósł dwie paczki papierosów. Obiad — ciasto na parze, tłusta ryba, bardzo smaczna. Mimo deszczu jestem wesoły".

Z dnia 8 stycznia.

„Można powiedzieć, że nas krzywdzą. Tak dawno nie było mięsa. Dziś sobie to odbijemy!

Krajobraz warownych wysp Taczen

Wszyscy chodzą weseli. Obiad okazał się najlepszy w ciągu ostatnich miesięcy. Mięso i ryby. Mówią, że to w związku z wizytą gości. Komisja oglądała bunkry. Czujemy się pokrzepieni. Dzisiejszy dzień warto zanotować. Szkoda, że tak nie jest zawsze".

W grubym niebieskim brulionie — „podarowanym przez brata Jun" (żołnierze armii kuomintangowskiej mówią do siebie — brat) znalazłem opis takiego wydarzenia:

„7 kwietnia 54 r. Pogoda deszczowa, środa.

Gdy wstałem rano cały plac był zalany. Trudno będzie prowadzić ćwiczenia. Instruktor Czen przyszedł do mnie po plan zajęć i powiedział, że w trzeciej kompanii zdarzyło się nieszczęście dzisiejszej nocy. Trzeba pójść zrobić zdjęcie.

Dowódca kompanii Ji, który kilka dni temu poszedł na Hong Fu, żeby skontrolować wartowników, natrafił na jakieś niedopatrzenie. Był bardzo wzburzony. On ma nieznośny charakter. Uniósł się gniewem i uderzył parokrotnie brata. Ten żołnierz mało rozgarnięty nie rozumiał, że oficer chce go pouczyć. Poczuł się dotknięty, rozżalił się wewnętrznie. Wstał nocą i zabrawszy od śpiących kucharzy automat zakradł się do mieszkania komendanta. Strzelił do śpiącego. Potem upewniwszy się, że dowódca nie żyje, odniósł broń i wrócił do swojej drużyny. Tam zastrzelił się ze swego karabinu, opierając nogę na spuście".

Zaciekawiła mnie zamiana broni. Pytałem chińskich oficerów, jak mam tę notatkę zrozumieć. Wyjaśnili mi prosto.

— On wziął automat, bo nie był pewny czy jednym strzałem zabije komendanta. Siebie zaś zastrzelił ze swego karabinu, bo to broń, do której był przywiązany, a zarazem nie chciał, ażeby kilka kul wyprutych z automatu, zeszpeciło jego ciało po śmierci.

Pod datą późniejszą o parę tygodni czytam:

„28 kwietnia, środa, mgła.

Nieszczęsna sprawa. Jeden z żołnierzy mojej kompanii Lin A-tin — zabił się w schronie przeciwlotniczym. Nim go odnaleźliśmy, tak wiele krwi utracił, że zmarł w drodze do szpitala. Przesłuchałem jego kolegów. W tej śmierci jest jakaś tajemnica. Czyż można sobie odbierać życie z powodu takich głupstw, o jakich mi oni mówią".

Jeńcy często wspominali o samobójstwach. Różne podawali przyczyny: nie leczone choroby weneryczne, tęsknota za krajem, nagłe depresje wywołane „braterskim traktowaniem", świadomość zmarnowanego życia, poczucie klęski.

W trzecim pamiętniku zainteresowała mnie typowa psychika emigranta, gdzie zawiedziona ambicja, tęsknota za krajem dzieciństwa, mimo frazesów o miłości narodu i służbie dla ojczyzny — zmieniły się w nienawiść do tych Chin, które spodziewa się zastać na kontynencie. Autor, student, pojmuje dobrze, że świat, o który walczy przy boku Amerykanów, został już w nim samym, w jego kruchej pamięci. Analogie z naszymi politycznymi emigrantami są uderzające.

„Dziennik dla człowieka jest pomnikiem jego pochodzenia, zapisem wykonanych dzieł i miejscem zabawy dla ducha. Na tych stronach można się cicho użalić, ulżyć sercu, a może i przekazać wiadomość o sobie, jeśli ktoś zechce te karty przeczytać, bo żołnierz nie zna godziny śmierci. Chciałbym zostawić ślad, jak żyłem i o co walczyłem.

W środku dziennika natrafiłem na nazwisko autora. Jest nim student Cin Cien-kuo. Jak wynikało ze wspomnień, ojciec jego był właścicielem przedsiębiorstwa dalekomorskiego połowu...

„30.9.53 r. Jasna pogoda.

Leżałem sam na brzegu morskim i patrzyłem na białe obłoki. Fale szumiały chwilami, dobiegając do moich nóg. Paliłem papierosa. Krzyk mew obudził mnie z zamyślenia. Dwie łodzie rybackie powracały do brzegu. To mi przypomniało dzieciństwo. Chyba warto zapisać. Kiedy byłem małym chłopcem, w czasie antyjapońskiej wojny, uczyłem się pisania pierwszych charakterów. Ojciec mój, żeby dopilnować interesów, sam wyjeżdżał z barkami na daleki połów. Zostawiał mi pudełko solonych rybek. Wiedział, że bardzo je lubię. „Kiedy je zjesz, napisz do mnie, to ci poślę świeże" — żartował żegnając się ze mną.

Wtedy nie rozumiałem człowieczych spraw, byłem mały i głupi. Dziś brakuje mi miłości ojca. Jakże dawno nie mam od niego znaku życia. Czy może smak solonych rybek, który dobrze pamiętam, mieć smak łez?"

„4 kwietnia 54 r.

Chodzę smutny, męczy mnie tęsknota za rodziną. Oni też pewno myślą o mnie. Jesteśmy rozdzieleni ogromnym rozkołysanym morzem. Któż dobrowolnie odchodzi od rodziny i płynie na wygnanie? Kto pragnie, żeby mu w twarz wiatr bił deszczem i śniegiem? Nikt mi twarzy nie otrze, nikt nie zatroszczy się, żebym wysuszył odzież i odpoczął.

Wiem, gdzie jest moja rodzina, pamiętam dom i drzewa wystające zza muru, a jednak nie można tam dojść... Co mnie wypędziło z ojczyzny? Co mnie skazało na wygnanie?

Jeżeli mam wrócić, muszę zabijać czerwonych. Jeżeli mam odnaleźć, co utraciłem, muszę burzyć to, co oni wznoszą".

Jedno z wydrukowanych wskazań, widniejących na pierwszej stronie dziennika przypomina: „Nie wolno gwałcić kobiet". Drugie uzupełnia: „Okazuj kobietom szacunek".

„23 kwietnia 54 r. Jasna pogoda.

Po południu byliśmy w drugim artyleryjskim dywizjonie. Zastrzyki przeciw cholerze. Złapałem wóz i podjechałem wcześniej od innych. Tun Czen-tou jest wesołym miejscem, tańczono w takt melodii „drżenie tysiąca młodych".

Powoli wracałem. Skorzystałem z wolnej chwili, żeby rozkoszować się urokiem wiosny. Jakże między kwitnącymi drzewami brakowało mi dziewczyny... W Tun Czen-tou trafiłem na występ zespołu z Taiwanu — „Mu Kan". Nie chcę o tych dziewczynach mówić źle, ale słyszałem ich dowcipy i rozmowy. Niczym się nie różniły od dziewcząt sprzedajnych".

„19 maja 54 r. Deszcz.

Lękam się spotkać z obcymi ludźmi. Kiedy mi meldują, że idą do nas obcy, czuję niepokój, co oni z sobą przyniosą... Twarze ich są zamknięte mimo uśmiechu. Gdybyż można było wiedzieć, jakie są prawdziwe myśli tych, którzy decydują o naszym losie...

Kiedy widzę Amerykanów, bije mi serce i drżą ręce.

Dziś późną nocą wróciłem od Niej. Nie tak to sobie wyobrażałem. Ona nie jest warta moich uczuć. Słusznie mówi poeta: „Nie sądź, że ona jest rybą, która przenika głębinę, ani żurawiem spływającym z obłoków. Nie myśl, że jest wstydliwa, bo odwraca twarz od światła miesiąca. Gdy zdejmie suknię, okaże się lisicą, która w czasie twego snu spija krew".

Autor skrzętnie notuje spotkania z Amerykanami. Wiąże wszystkie nadzieje z ich pomocą.

„Dawno już nie widziałem filmu. Dziś Amerykanie zaprosili nas do siebie na pokaz. Nie rozumiałem wszystkiego, ale film był piękny. Jednak po powrocie do ziemianki byłem bardzo smutny.

Ostatnio jest mi źle. Nie mogę zrozumieć dlaczego. Nawet samo

Ocalały rybak z wyspy Taczen, którego nie uprowadzili Amerykanie w czasie ewakuacji przymusowej — opowiada żołnierzom Chińskiej Armii Ludowej o swoich przeżyciach

grzebanie w sobie jest dla mnie przykre. Dlaczego człowiek jest taki skomplikowany? Dlaczego nie mogę być czysty i prosty jak w dzieciństwie.

Mój przyjaciel ogania' się od trosk jak bawół od bąków, ogromnie mu zazdroszczę".

„Dziś przyjechali dwaj delegaci na kontrolę służby sanitarnej. Poruszano różne sprawy. Głównie domagali się otworzenia punktu medycznego na Sia Taczen. Dużo lekarstw dostajemy z Ameryki. Przynajmniej powinno wystarczyć — tak oni twierdzą. Nie podobał im się nasz felczer. Kazali go zmienić. Zdaniem Amerykanów należy skontrolować, jakim sposobem przysyłane przez nich lekarstwa znajdują się na rynku. Jasne, że to sztuczka tych, którzy chcą zarobić. Amerykanie żądali, żeby oddzielić ludność od wojska, bo od rybaków i ich rodzin przychodzą do nas choroby".

„4 sierpnia 54 r. Dzień deszczowy.

Rano zamiast pójść na ćwiczenia, uczyliśmy się teorii. Dostaliśmy nową instrukcję, jak używać kul rozrywających.

Dzwonili do mnie z dowództwa batalionu, żebym z Czan-Huaj-cianem przyszedł natychmiast. Znowu spisy żołnierzy są sfałszowane.

Przy okazji omawiano wydarzenie, które miało miejsce w drugiej kompanii. Oficerowie nie wnikają w życie żołnierzy. Przytaczano wypadki znieważania i bicia bambusowym nosidłem. Po południu zamiast pójść na zawody strzeleckie, uczyłem chwytów bronią. Znowu przygotowania do defilady.

Wieczorem rysowałem schemat kul rozrywających".

„21 grudnia 54 r.

Są duże zmiany. Czterech oficerów otrzymało nowe przydziały. Czas, żeby i mnie awansowali. Przyjechał jeden z moich kolegów, dziś wysoki oficer, zauważył mnie, poznał, ale nie znalazł chwili czasu na rozmowę. Wszystkie pokolenia były szczęśliwsze od naszego. Wiem, że nie ma uczuć, które nie mijają, jak nie ma kwiatów, co nie więdną. Tylko tak można serce uciszyć. Dużo przychodzi mi myśli, których nie zapiszę.

Wieczorem opowiadano u nas o walce powietrznej. Nasz bombowiec B-26 napotkał trójkę bandyckich myśliwców. Nasi piloci zestrzelili wszystkie, ale ich maszyna musiała wodować niedaleko wybrzeża i zatonęła. Lotnicy ocaleli, bo ich wyciągnęli marynarze".

Typowa plotka dla podtrzymania ducha, bo nikt nie widział zestrzelonych myśliwców... Od kiedy bombowiec daje sobie radę z przeciwnikiem górującym szybkością, zwrotnością i liczbą.

„Dziś wieczorem przyjechał do nas generał Lu Lien-ji, przemawiał pięknie. Przestajemy być oddziałami partyzanckimi. Jesteśmy regularną armią. Należy wzmóc dyscyplinę, oczyścić nasze szeregi i umocnić koleżeństwo między jednostkami. Należy tępić zdrajców i demaskować tych, którzy nie wierzą w zwycięstwo. Mamy czujnie przyglądać się ludności, przeprowadzać rewizje i wyławiać opornych".

„18 stycznia 55 r.

Wszyscy Amerykanie, pracownicy „Western Company" nagle odjechali na Taiwan. Przekazano nam wiele interesujących materiałów. Dotąd uczyli nas, wspierali, podtrzymywali na duchu. Niektórzy gadają, że to w związku z wczorajszym szturmem czerwonych na I-dzian-san. U nas było ciężkie bombardowanie. Nie wierzę, żeby nas opuszczali w takiej chwili... przecież przyrzekli nam pomoc. Nasze życie mimo wzmożonej czujności toczy się bez zmian".

Wojciech Żukrowski

JERZY STADNICKI

Krytyka i reakcyjność

ZACZĄŁEM pisać dla zarobku. Umieściłem to wyznanie na wstępie niniejszych rozważań, ponieważ jest ono dla nich istotne. Podobno większość pisarzy zaczyna pisać dlatego, że ma do obwieszczenia światu jakieś rewelacje. Ja nie miałem żadnych. Byłem w biedzie, rozglądałem się za źródłami zarobku i powiedziałem sobie: tyle drukuje się głupstw wszelakiego rodzaju — potrafię przecież niegorzej. Tak był początek.

Różne sprężyny popychają ludzi do różnych poczynań i poczynania są ważniejsze od sprężyn, ale wydaje mi się, że nie jest źle, gdy pisarz zaczyna pisać dla zarobku. Dlatego nie jest źle, że taki debiutant wychowuje się w duchu nieustannej autokontroli, że musi wciąż stawiać sobie pytanie: — Czy to, co piszę, będzie się podobało? Czy nie jest, przypadkiem, nudne?

Wielu młodych, utalentowanych pisarzy, którzy zaczynają tworzyć nie pod wpływem biedy, lecz szlachetniejszych impulsów, z których najczęstszym jest ambicja — wielu takich pisarzy popada zaraz na wstępie w błąd, który jest z biegiem lat coraz trudniejszy do naprawienia: nabierają przedwcześnie przesadnego mniemania o własnej ważności, czyli, wyrażając się popularnie — przewraca im się w głowie. Wydaje im się, że to, co piszą, jest ogromnie nowatorskie, chcą wychowywać starszych i mądrzejszych od siebie, słowem — oddalają się od czytelnika, piszą nie dla niego, lecz dla siebie, piszą — i nie są czytani.

Pisarz, piszący dla zarobku, łatwiej unika tych niebezpieczeństw. Jest bardziej pokorny, chętniej słucha krytyki, bardziej szanuje opinię publiczną, choćby opinię maluczkich, bo maluczcy — to masa, a masa oznacza pieniądze. Masa posiada instynkt bardziej zdrowy, niż na ogół sądzimy. Jeszcze nasze pokolenie pamięta prostaczków, którzy śmiali się z teorii Kopernika, wierząc święcie, że to słońce kręci się dookoła ziemi. Wydawali nam się bardzo głupiutcy do chwili, kiedy zjawił się Einstein i ogłosił teorię względności.

Ale pisanie dla zarobku kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo. Grozi zwyrodnieniem komercjalnym: Grozi także manierą kokietowania czytelnika. Zygmunt Lichniak niejednokrotnie zwracał mi na to uwagę. Andrzej Biernacki oświadczył mi nawet, że literatura prawdziwie wielka nigdy nie była popularna w swoich początkach. Że pisarz powinien wyprzedzać epokę, to znaczy walczyć, nie zaś — dogadzać i schlebiać. Wszystko to na pewno jest słuszne.

Mamy szczęśliwie za sobą epokę dwudziestolecia, epokę całkiem specjalną w dziejach literatury, epokę zupełnego lekceważenia odbiorców w plastyce i literaturze. Epokę, w której koteria artystów tworzyła hermetyczną sztukę wyłącznie dla siebie, a miliony zwykłych ludzi wołały: — My z tego nie rozumiemy ani słowa! Tragiczną epokę obustronnej pogardy, w której artyści nazywali zwykłych ludzi „motłochem", a zwykli ludzie nazywali artystów „wariatami". Największą chyba zdobyczą naszych czasów w dziedzinie kultury jest to, że nie ma ludzi, którzy by tęsknili za taką sztuką.

Ale mamy jeszcze szczęśliwiej za sobą epokę, w której artysta uważał za sprawdzian wartości swojej sztuki — powodzenie w komercjalnym znaczeniu tego słowa. Kiedy miernikiem talentu była poczytność, nakład, pieniądze. Kompromitujące wybryki literatury comicsowo-pornograficznej z jednej strony, a kulturotwórcze zasługi socjalizmu z drugiej — ukazały nam konieczność sterowania sztuką. Co do tego — zgadzają się wszyscy. Kłopoty zaczynają się w chwili, kiedy musimy zdecydować, jaki ma być ten ster, to znaczy: jakie są kryteria pożytku lub szkodliwości literatury i kto ma kompetencje do wydawania miarodajnych orzeczeń.

Zagadnienie wyda się może jaśniejsze, gdy je objaśnię na przykładzie: wiele miałem sporów z Zygmuntem Lichniakiem, gdy mi zarzucał, może niereakcyjność, ale jakąś niedosocjalistyczność, czy niedopostępowość moich nowel. W ramach takiego sporu powiedział mi kiedyś, że za bardzo krytykuję różne zjawiska należące do sfery socjalizmu. Odpowiedziałem, że przecież różni pisarze, których postępowość nie jest kwestionowana, także krytykują. Że „Obywatele" Brandysa, „Władza" Konwickiego, felietony Putramenta, satyry Jurandota („Poemat dla dorosłych" i „Złoty lis" jeszcze się wtedy nie ukazały) — krytykują przecież co niemiara. Wówczas Lichniak wypowiedział zdanie, które mogłoby mi posłużyć za antymotto niniejszych rozważań: „Tak, ale tamci pisarze zdobyli sobie prawo do krytyki przez długotrwałe zaangażowanie".

Sądzę, że takie ustawienie problemu jest bardzo niebezpieczne. Czyni z nagany jakby nagrodę za katorgę chwalenia i w ogóle niepotrzebnie przeciwstawia jedno drugiemu. Rozumiem, że Lichniak nie to miał na myśli, że chodziło mu raczej o wylegitymowanie krytyki z jej intencji. Ale i z tym stanowiskiem nie mogę się zgodzić. To, czy pisarz chwali, czy gani — naturalnie, przy tych samych wartościach ideowych — nie może stanowić punktu wyjścia dla oceny jego samego, gdyż jest od niego niezależne, jest wyłącznie kwestią jego temperamentu pisarskiego. Przecież jeden malarz może wyrazić tę samą treść ideową za pomocą barwy zielonej, drugi zaś — za pomocą żółtej.

Stop! Uprościłem zagadnienie. Lichniak nie widzi go przecież w takiej czy innej formie, lecz w takiej czy innej treści. Ale nawet estetyka marksistowska uważa, że nie treść decyduje, tylko stosunek do niej. Można być postępowym malarzem równie dobrze malując portrety polityczne, jak malując kwiaty.

Ale chcę być uczciwy. Wiem, że Lichniakowi chodziło o coś jeszcze innego i rozumiem jego myśl w następujący sposób: — Jest rzeczą szokującą, by pisarz, który stał zdala od rewolucji, dochodził do niej od najłatwiejszej strony, od strony krytyki. Stał na uboczu, gdy inni się o nią krwawili, stał na uboczu, gdy wznoszono jej fundamenty, gdy budowano jej tory, a teraz nagle się zjawia i chce się przejechać jej pociągiem — dokąd? Gdzie widzi cel tej podróży? Mało tego! chce dawać starym kolejarzom nauczki!

Z tym zarzutem nie rozprawię się już tak łatwo. Wyznam nawet, że mnie samemu bywa dziwno i nieprzyjemnie na myśl, że w swoich artykułach, nowelach i felietonach „sztorcuję" ludzi, którzy zjedli zęby na budowaniu ustroju i choć popełniają błędy — bo któż ich nie popełnia — mają legitymację o niezaprzeczalnej wartości.

Gorzej jest. Bo zdaję sobie sprawę, że krytyka to bardzo subtelna rzecz, bardzo dwusieczna broń. Napisałem „Wyrok", „Polskie Drogi", i „Prawo do skargi". Głoszę, że napisałem je po to, by wykazać pośpiechy rewolucji, potknięcia jej ludzi, niedopatrzenia ustroju. Któż jednak zaręczy, że nie myślałem odwrotnie? Jakoś w tym duchu: — Widzicie, robię, co mogę, by ocalić Polskę, tę z Orłem w koronie. A tamto — musiałem napisać, żeby puścili mi to.

Na to pytanie nikt nie może dać miarodajnej odpowiedzi prócz mnie, ja zaś nie mam innych dowodów, prócz słowa honoru. Kto jednak uwierzy w słowo honoru? Krytyka, a w szczególności krytyka neofitów nie budzi zaufania, nie może budzić zaufania, nie powinna budzić zaufania.

Krytyka, a w szczególności krytyka neofitów — mało czym różni się od negacji. Bądźmy szczerzy: na oko — nie różni się niczym.

(Dokończenie na str. 7)

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wielkodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 2365
B-6-17955